BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ
Nr. 57.

O ZYGMUNCIE KRASIŃSKIM

NAPISAŁ

DR. KONST. WOJCIECHOWSKI

POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.
83 SECOND AVE., NEW YORK

LWÓW. — NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ
Główny skład w Administracyi Macierzy Polskiej w Gmachu Sejmowym
Skład główny w Krakowie w księgarni G. Gebethnera i Spółki
1911.

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/ozygmunciekrasin0000drko

BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ.

Nr. 57.

O ZYGMUNCIE KRASIŃSKIM

NAPISAŁ

Dr. Konstanty Wojciechowski

Ks. P. Topolski
O. M. C.

WE LWOWIE
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ
Główny skład w Administracyi »Macierzy polskiej« w Gmachu Sejmowym
1911

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Z trzech wielkich poetów, którzy żyli i działali w pierwszej połowie wieku dziewiętnastego, najlepiej znany jest ogółowi Adam Mickiewicz, mniej Juliusz Słowacki, najmniej Zygmunt Krasiński. Powodem tej nieznajomości pism Krasińskiego jest przekonanie, że są one trudne do zrozumienia. Tak po większej części nie jest; nie należy tylko tracić ufności do samego siebie, lecz czytać pilnie i myśleć nad tem, co poeta chciał narodowi swemu powiedzieć. A powiedzieć chciał wiele: przedewszystkiem chciał tchnąć wiarę głęboką w sprawiedliwość Bożą i w lepszą dolę Polski. Ale nietylko wiary żądał od nas, owszem chciał nas nauczyć, przekonać, udowodnić nam, że »będzie Polska«. Jak on to udowadniał, to każdego Polaka powinno zająć niezmiernie żywo, ale jeszcze skwapliwiej powinien każdy starać się poznać te warunki, od których spełnienia — według Krasińskiego — zawisło zmartwychwstanie Ojczyzny. W roku 1912. przypada setna rocznica urodzin poety. Niech ta książeczka przygotuje serca ogółu tak, by znaczenie tej rocznicy zrozumiał.

Młodość. — Pierwszy cios. — W Szwajcaryi i Włoszech. — Chwile rozpaczy. — Ślub.

W słynnym roku 1812. brał udział w wyprawie napoleońskiej na Moskwę, między innymi oficerami polskimi wyższych stopni, Wincenty hr. Krasiński, potomek znakomitej i możnej rodziny, właściciel dóbr opinogórskich. W tymże roku urodził się hr. Krasińskiemu w Paryżu dnia 19. lutego syn, któremu na chrzcie dano imię Zygmunt. Nad dzieckiem roztoczyła pieczę matka, Marya z ks. Radziwiłłów, ojciec bowiem mimo klęski Napoleona nad Berezyną nie opuścił szeregów wodza, lecz walczył pod Lützen, Bautzen, Dreznem, Lipskiem, w r. 1814. pod Brienne, a gdy Napoleon musiał koronę złożyć, generał Krasiński odprowadził tę garstkę Polaków, która pozostała do końca wierną wodzowi, z Francyi do Warszawy. Tu wstąpił do armii Królestwa polskiego, a równocześnie otworzył swe salony warszawskie dla znakomitych rodaków, pisarzy, polityków, poetów.

Mały Zygmunt wychowywał się tedy w Warszawie, a do Opinogóry wyjeżdżał z rodzicami

Generał Wincenty Krasiński,
ojciec Zygmunta Krasińskiego.

tylko na lato. Matka, kobieta bardzo religijna, wszczepiała w syna zasady religii chrześcijańskiej, a chłopczyk przejmował się głęboko naukami, które płynęły z ust najdroższych. Nie było bo to bowiem już od pierwszych lat życia dziecko zwyczajne. »Nie hasał« Zygmuś »na kijku«, »nie tarzał się po trawnikach«, ale często »czoło opierał na rączkach białych« i zdawał się o czemś głęboko myśleć. W naukach zdolności okazywał nadzwyczajne. O siedmioletnim chłopczynie pisał do ojca nauczyciel jego domowy, późniejszy znakomity pisarz, Józef Korzeniowski: »miło patrzeć, jak rozum jego coraz nowych sił nabiera, jak w każdem zdarzeniu okazuje bystrość pojęcia, przytomność umysłu, chęć nieograniczoną dowiadywania się i uczenia«. Ta »chęć dowiadywania się i uczenia« pozostała znamienną właściwością Zygmunta do końca życia. Jako dziecko już chłonął wprost wiadomości, a to, co mu się szczególniej podobało: ogólne uwagi, moralne zdania, wypisywał sobie w zeszytach. Gdy liczył czternasty rok życia, oddał go ojciec do ostatniej klasy liceum warszawskiego. Tu zawarł Zygmunt serdeczną przyjaźń z dwoma kolegami, Konstantym Gaszyńskim (znanym później poetą) i Konstantym Danielewiczem. Tu, w liceum również, podobnie jak niektórzy z jego kolegów, począł próbować sił swych w tworzeniu, napisał nawet jakąś powieść i wydrukował ją w domowej drukarni. Jak świetnie władał językiem łacińskim, dowodem przekład na łacinę ballady Mickiewicza

p. t. Świtezianka. Przekładu tego dokonał Krasiński jako uczeń liceum.

W następnym roku: 1827-mym wpisał się na uniwersytet warszawski na wydział prawniczy, ale prócz przedmiotów obowiązkowych słuchał również wykładów filozofii, historyi powszechnej i literatury polskiej (literaturę wykładał znany poeta, autor Wiesława, Brodziński). Szczęśliwe to były dla Zygmunta czasy: swoboda akademicka, serdeczni koledzy i namiętne rozczytywanie się w dziełach współczesnej literatury, zwłaszcza w poezyach Mickiewicza i romansach słynnego angielskiego powieściopisarza Walter-Skota. Walter-Skot przedstawiał w swych utworach owiane czarem poezyi i tajemniczości wieki średnie, mężnych rycerzy i czułe dziewice, ludzi potężniejszych od naszego pokolenia, większych w cnocie czy w zbrodni. Wywierał ogromne wrażenie w całej Europie, a czytano go, tłumaczono i naśladowano również w Polsce. Pod wpływem Walter-Skota napisał Krasiński kilka powieści i powiastek, jak »Grób Rodziny Reichstalów« (drukow. w r. 1828), »Mściwy karzeł i Masław książę Mazowiecki«, »Zamek Wilczki«, »Władysław Herman i dwór jego« (trzy ostatnie drukowane w r. 1830) i inne. Nie były to bynajmniej rzeczy znakomite, raziły okropnościami, przesadą. Np. w powiastce o Mściwym Karle zawieramy znajomość z niejaką Joanną z Gozdawy. Jest to potwór niebywały. Ażeby lica jej nie straciły pięknego wyglądu, każe Joanna karłowi swemu mordować niewinne dziewice i w krwi ich się kąpie.

Marya z Radziwiłłów Krasińska,
matka Zygmunta Krasińskiego.

Za to spotyka ją kara z ręki Masława: płonie w swym zamku przywiązana do słupa, wraz z karłem. W płomieniach ginie także rycerz Jordan z Bordan z narzeczoną swą Zbisławą, Jordan za to, że ujął się wobec Masława za czcią narzeczonej, ona zaś za karę, że nie chciała być kochanką okrutnego księcia. »Gdy ta okropna scena w zamku się odbywała — kończy powieść Krasiński — Masław i inni rycerze, stojąc u stóp wzgórza gozdawskiego, przypatrywali się ogniowi. Aż nareszcie, gdy ogień przygasł: Przez pioruny i piekła — zawołał Masław — c z a s b y s i ę p r z e s p a ć (!) i to mówiąc, spiął konia ostrogą i pojechał gościńcem ku wiosce prowadzącym«. Przesada w nagromadzeniu potwornych, bestyalskich charakterów, przesada w roztaczaniu okropnych scen, przesada wreszcie w kreśleniu tej obojętności, jaką zachowuje Masław wobec dokonanej przez siebie mściwej zbrodni. A z podobnymi objawami spotkamy się także w innych powieściach Krasińskiego z tego czasu. Sztylet, mord krwawy, zemsta, potworność — oto w czem rozmiłował się młody autor. Wyobraźnia zajęta była przerażającemi widziadłami, okropnościami. Oczywista — my, czytając te powieści, nie wzruszamy się tak, jak tego pragnął młody autor, lecz raczej uśmiechamy się pobłażliwie na widok trudności, które autor napiętrzył, a z któremi nie potrafił sobie dać rady. Krasiński bowiem — jak z tego widzimy — nie należał do rzędu tych twórców, którzy od razu występują z dziełami znakomitemi, lecz do tych, którzy zaczynają od

rzeczy czasem nawet niedołężnych, by rozwijając się stopniowo, ale stale, zdobyć wreszcie potęgę myśli i słowa. U Zygmunta ten okres pracy przygotowawczej trwał jednak bardzo krótko.

Na szybkie dojrzenie umysłowe wpłynęła katastrofa. Były to chwile przed powstaniem listopadowem — w powietrzu czuć było burzę. Rząd rosyjski drażnił społeczeństwo polskie łamaniem konstytucyi, dzikimi wybrykami W. Księcia Konstantego, a wśród młodzieży wrzało. Powstawały tajne stowarzyszenia, spiski. Głośną była sprawa Krzyżanowskiego i towarzyszy, oskarżonych o zdradę stanu. Stawiono ich przed sąd sejmowy, ale sędziowie wszystkimi głosami — przeciw jednemu — uznali obwinionych niewinnymi. Tym jedynym członkiem sądu, który głosował za skazaniem oskarżonych, był Wincenty hr. Krasiński. Odtąd poczęto patrzeć na generała podejrzliwie, poczęto go uważać za poplecznika Rosyi. Było to pierwsze straszne cierpienie, jakie spadło na Zygmunta: ojca jego posądzają o zdradę sprawy narodowej! Ale wnet przyszedł cios gorszy. Gdy niedługo po sądzie na spiskowców umarł prezes sądu, senator Bieliński (1829), młodzież postanowiła wziąć w pogrzebie jego gromadny udział, uczynić z pogrzebu uroczystość narodową. Akademicy zobowiązali się, że w dniu tym nie przybędą na wykłady. Istotnie sale wykładowe były puste, a tylko w jednej wykładał jeden z profesorów przez dwie godziny jedynemu słuchaczowi — Zygmuntowi Krasińskiemu. Krasiński poszedł na wykład na wyraźny rozkaz

Zygmunt Krasiński
w czternastym roku życia.

ojca, choć serce ciągnęło go tam, gdzie byli wszyscy jego koledzy, ale wśród młodzieży zapanowało oburzenie. Gdy nazajutrz Zygmunt zjawił się na uniwersytecie, koledzy rzucili się na niego i znieważyli go czynnie. Jak strasznie odczuł młodzieniec tę obelgę, dowód w tem, że po latach jeszcze pisał w jednym z utworów »Przechodziłem wśród nich wszystkich... świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadom! Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej! Krzyczą: panicz, panicz!, jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło...«

Niepodobna było, by Zygmunt mógł dłużej w takich warunkach pozostawać w Warszawie — i ojca i jego posądzano o odstępstwo — toteż generał wysłał syna co rychlej do Szwajcaryi, na dalsze studya. Tu spędził Zygmunt rok w Genewie. Tęsknił za ojczyzną, ale wśród przyrody przepięknej, wśród pracy gorączkowej, nauki pilnej, bardzo obfitego czytania mnóstwa dzieł, począł powoli zapominać o bolesnych przejściach.

Do zabliźnienia się ran przyczyniły się także inne okoliczności. Znalazł Krasiński serdecznego przyjaciela w osobie Anglika Reeva, zakochał się w pięknej cudzoziemce, Henryce Willan. Liczne a różnorodne wrażenia wpływają podniecająco na twórczość, to też Zygmunt tworzy w tym czasie wiele i bądź to kreśli obrazy przyrody alpejskiej, bądź pisze o sobie i o swych uczuciach, bądź śle do

druku powiastki (»Teodoro, król borów«) i szkice różnorodne.

W sierpniu w r. 1830. zaznajomił się Krasiński z Adamem Mickiewiczem i odbył wraz z nim i Odyńcem wycieczkę kilkutygodniową w góry szwajcarskie. Największy poeta polski wywarł na młodego autora wpływ niezmiernie korzystny. Wytłumaczył Zygmuntowi, że »szumność jest głupstwem tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną« i że »wszystkie ozdóbki, kwiaty stylu są niczem, kiedy myśli niema«.

Dnia 3. listopada 1830 opuścił Zygmunt Genewę i udał się przez Medyolan i Florencyę do Rzymu. Tu zwiedzał zabytki Romy pogańskiej i świątynie chrześcijańskie i rozmyślał nad znikomością potęgi światowładnego imperyum rzymskiego i nad mocą krzyża, który zapanował tam, gdzie niegdyś Cezarowie rzucali chrześcijan dzikim zwierzętom na pożarcie.

Przepięknie spowiada się Krasiński z wrażeń przyjacielowi swemu Reevowi:

»W piękną noc księżycową wstąpiłem pod arkady [1]), które widziały tyle pokoleń; na nich rozsiadał się lud — król w dniach swej potęgi; arkady te nie załamały się ani pod ciężarem ludzi, ani pod ciężarem czasu. Księżyc był jeszcze nizko na widnokręgu, wnętrze budynku było ciemne; starałem się przebić wzrokiem mym ciemności.

---

[1]) Sklepienia łukowe.

Serce mi biło, bo czułem się blizko odległych wieków. Pogrążyłem się w wspomnieniach. Zwolna promienie księżyca zaczęły wdzierać się przez rozwaliny murów, przez wejścia portyków [1]); dziwny to był widok: promienie księżyca łamały się na łukach, na kapitelach [2]) i słupach; na kilku miejscach igrały znowu z bluszczem, który zastąpił purpurę i jedwab cyrku. Wszedłem na pierwsze piętro, następnie na drugie, wszędzie ciemno, czarno. Znowu zatrzymałem się, oddałem się głębokiemu rozmyślaniu.

»Niebo błękitne nademną zasiane było włoskiemi gwiazdami, podemną przepaść całej wysokości Kolosseum [3]). Wspomnienia za wspomnieniami przybiegały ku mnie, a wyobraźnia moja podniecała się stopniowo. Im bardziej przedmioty wyraźniejsze się stawały dokoła mnie, tem więcej myślałem o czasach dawno przeszłych, które żyją jednak w pamięci ludzkiej. Zdawało mi się, że słyszę głosy zmięszane: krzyk przenikliwy gladyatora [4]), potem oklaski całego ludu; szmery uznania po wrzaskach okropnych; ryki lwów i tygrysów; a potem wśród tego grecka muzyka fletu i dźwięki

[1]) Portyk: chodnik kryty z daszkiem wspartym na szeregu słupów.

[2]) Kapitel: najwyższa, ozdobna część kolumny (słupa).

[3]) Kolosseum: olbrzymi cyrk w Rzymie; odbywały się w nim dzikie igrzyska. W Kolosseum rzucano chrześcijan na pożarcie drapieżnym zwierzętom.

[4]) Gladyatorowie, byli to w starożytnym Rzymie zapaśnicy, którzy popisywali się publicznie siłą i zręcznością w walce na życie i śmierć ku uciesze ludu rzymskiego.

trąb wojskowych. Naraz jęki się wzbiły i upadły w milczeniu; czułem, że już się więcej nie podniosą. Nagle szczęki mieczów i sztyletów starożytnych rozbrzmiały wśród sklepień, a potem zdało mi się, że tu i tam usłyszałem, jak pada ciało pokryte pancerzem, jak puklerz po piasku się toczy, to znowu, jakby szmer kilku strumyków toczących się wolno. Zapach krwi poczułem, ale ponad wszystkie te krzyki, ponad ten hałas wzbijał się głos jakiś, choć łagodny i drżący. Głos ten wznosił się w powietrzu cały harmonijny. Rzekłbyś: śpiew nadziei, chociaż usta, które go wydały, miały się zamknąć na zawsze. Rzekłbyś: hymn śmierci, który dziewica chrześcijańska śpiewa przed połączeniem się z Bogiem.

»W tej chwili księżyc ukazał się na murach Kolosseum, jak gdyby wychylał się ze zwoju bluszczu, który w girlandach [1]) spadał z wierzchołka budynku. Arena [2]) się odsłoniła. Na jej środku wznosił się krzyż z czarnego drzewa. Krzyż ten prześladowano na tem samem miejscu przed wielu wiekami, kiedy Kolosseum wyobrażało całą wielkość tych, co go zbudowali. Krzyż ten od owych dni krwi i żałoby w niczem się nie zmienił, niczem się nie ozdobił, dzisiaj stoi na miejscu, tam, gdzie po nim deptano, a dumne Kolosseum, które z pychą spoglądało na poniżenie krzyża, teraz wokoło niego w proch się rozsypuje.

---

[1]) Girlanda: splot gałązek z kwiatami.

[2]) Arena: plac, na którym walczono.

»Ale krzyż nie zdaje się wzbijać w dumę ze swego tryumfu. W milczeniu wyciąga ramiona swe czarne w obie strony budynku, a cień jego zdaje się rzucać błogosławieństwo pokoju na ziemię, gdzie spoczywają snem wiecznym: prześladowcy i prześladowani. Kto nie wierzy w Jezusa Chrystusa, ten niech idzie w noc księżycową do Kolosseum, a jeśli nie upadnie na kolana przed tym symbolem[1]) wiary ,znać, że człowiek ten, z góry to mówię, niema ani duszy ani serca...«

Wśród tych rozmyślań, wśród pracy nad sobą i pracy twórczej począł poeta powoli zapominać o bolesnej ranie, zadanej mu w r. 1829 w Warszawie, kiedy nagle uderzył w nieszczęsnego młodzieńca nowy grom. W grudniu 1830 dowiedział się Krasiński o wybuchu powstania narodowego w Warszawie, a równocześnie dotarła do niego wieść, że ojciec jego nietylko do powstania się nie przyłączył, ale podążył do Petersburga... Zawyło w synu serce z bolu, ale nie tu miał być koniec jego mąk. Chciał walczyć za ojczyznę, ojciec zabronił i nie dość, że zabronił — uczynił wszystko, by Zygmunt nie mógł, choćby chciał, wyjechać do Polski.

Poeta próbował zerwać te więzy, próbował przekonać ojca, że obowiązkiem jego, Zygmunta, jest stanąć w szeregu wraz z innymi.

»Nie może wątpić Kochany Papa — pisał w liście do ojca — że go kocham więcej od

---

[1]) Symbol: znak.

wszystkich ludzi, żem gotów dla Niego poświęcić wszystkie związki, czego Mu dowód dałem przeszłego roku — ale też nie wątpi mój Ojciec, żem jest jego synem, wnukiem biskupa Adama i Polakiem. Pisałem w liście do Papy, że nienawidzę ludzi, którzy przeciw niemu powstali w Warszawie, alem pisał zarazem, że kocham Polskę i że kiedy Jej sprawa narodową się stanie, nic mnie wstrzymać nie zdoła.

»Nasz wiek jest wiekiem poświęceń i pokuty.

»Ofiarę z siebie uczynić jest obowiązkiem świętym, od Boga nakazanym. Są takie obowiązki na świecie, które jedne tylko środkują między stworzeniem a Stwórcą, nie przypuszczając między nich trzeciej osoby. Takim obowiązkiem jest służenie Ojczyźnie.

»Drogi Papa mi pisze, bym podróżował, uczył się, kształcił i bywał po towarzystwach. Trudnoby to przyszło mi do wykonania w stanie, w którym jestem. Cierpienia wjadły się głęboko w moje serce; nieprzerwaną mam gorączkę; czasem czuję, że mi się mózg przewraca; dni moich i nocy nikomu nie życzę. Czytać, pisać mi nie sposób; ledwo dokończyć mogę zaczętej rozmowy.

»A potem podróżować, włóczyć się między cudzoziemcami, kiedy moi rodacy walczą, by zginąć lub zwyciężyć — jest rzeczą nietylko niepodobną do uskutecznienia, ale wywołującą co chwila rumieniec wstydu na moje lica.

»I któż ze mną zechce pomówić? kto rękę ścisnąć? kto się zapoznać? kiedy się dowie, żem Polak, podróżujący dla zabawy i nauki w czasie, kiedy Polacy codzień giną w Polsce! — Takiego stanu znieść nie mogę. Cząstkami umieram codzień. — Przez Boga! lepiejby było odrazu umrzeć i nie męczyć się tyle! Teraz nadchodzi dla mnie uroczysta chwila. Zmuszony jestem powiedzieć Ojcu, którego kocham i kochałem zawsze nadewszystko, że pójdę przeciw jego woli, że będę się starał do Polski wrócić, że to jedynym od dzisiaj staje się celem wszystkich moich myśli i działań.

»Ojcze drogi! niechaj Bóg mnie sądzi, a Ty nie odmów mi swojego błogosławieństwa!

»Na kolanach błagam, wspominając obraz matki mojej, której śmierć po dziesiąty raz obchodziłem miesiąc temu w Genewie, błagam mego Ojca o przebaczenie i błogosławieństwo. — Cierpienia, które sprawię jeszcze, odbijają się w mojej duszy — już ich ciężar dźwigam na sumieniu.

»Źle mi jest, o źle. Kiedy wspominam na Ojca, drżę cały i cofam się przed przedsięwzięciem.

»Ale kiedy Polska mi na myśli staje, znowu sił mi przybywa, znowu przypominam sobie, że dzieckiem nieraz przysięgałem przed drogim Papą, że ją zawsze, zawsze kochać będę«.

Z listu tego widoczne, że Zygmunt powziął plan potajemnego opuszczenia Genewy i przedostania się do Polski. Plan nie powiódł się. Nie dopuścił do tego dodany Zygmuntowi przez ojca do boku towarzysz-opiekun. Nie dał pieniędzy na podróż, a być może, że nawet porozumiał się z władzami genewskiemi. Dość, że poeta pozostał w Szwajcaryi.

A tymczasem z Polski dochodziły wieści coraz nowe: o bohaterskich bojach, o postępach oręża powstańców, a potem o naporze wojsk rosyjskich, o pierwszych klęskach. Krasiński ręce łamał, drżał, płakał — bezczynny... »Kto z powiek mych zetrze ślady łez, które przeżarły je, jak krople, co liście dziurawią?« pisze poeta w »Adamie Szaleńcu«, a w innym utworze p. t. »Wygnaniec« tak mękę swą przedstawia:

»Kiedy cię przekleństwo ojca wyruguje z domu, w którym wyrzekłeś z kolebki pierwsze wyrazy do matki; kiedy z przyjaciółmi przyjdzie do pożegnania, bez nadziei, żebyś ich kiedy powitał znowu; kiedy w progu raz ostatni mamkę płaczącą uściśniesz, z bram miasta się ukłonisz na wieki, z drogi, którą się udajesz, znikną ci stopniami wieże i dzwonnice — nie jest to wygnanie. Jeśli puściwszy się na morze, spotkasz wiatry przeciwne i pędzony burzą, po rozbiciu się okrętu, z towarzyszów tylu ocalejesz na skale, by nieludnej wyspy jedynym zostawszy mieszkańcem, zdobywać trochę pokarmu na jej dziedzicach: lwie i gadzinie; jeżeli tygodnie, miesiące, lata tam pędząc, doznasz niepogód i nędzy,

wylejesz dużo krwi, kalecząc się po żwirze na brzegach, dużo też wspominając o straconej na zawsze ojczyźnie i rozbitych majątkach: o wierz mi, nie jest to jeszcze wygnanie. Kiedy po wysłuchaniu wyroku pójdziesz raz jeszcze żonę uściskać i dzieci pobłogosławić w komnatach, gdzie wiszą przodków obrazy, a potem... wyjdziesz, by nie wrócić więcej, choć czujesz, żeś nie przewinił; kiedy inkwizytor (sędzia) odprowadzi cię w milczeniu aż do granicy i tam puści, mówiąc: »idź naprzód, ale się nie oglądaj« — o wierz mi, jeśli zostawisz kraj w pokoju, swobodzie i szczęściu, jeśli oddalając się usłyszysz wokoło pieśni mieszkańców..., nie nazywaj tego jeszcze wygnaniem. Lecz może w rozkosznej krainie, pod jasnem niebem bawiąc się wesoło... posłyszysz, że twoja ziemia zrzuca jarzmo i rwie kajdany, które ją krępują: wtenczas, jeśli... pobiegniesz ku szczękowi szabel na ojczyste błonia, lecz w pół drogi cię zatrzymają ludzie i okoliczności; jeśli słysząc codzień wieści o swoich, codzień napróżno ku nim wzdychasz, słysząc, że się biją, ty drzemiesz, słysząc, że zwyciężają, ty dzielić chwały nie możesz, słysząc, że giną, ty żyć musisz; jeśli się ani ucieczką ani podstępem ani zbrojną ręką przebić nie potrafisz; jeśli wylawszy moc całą na usiłowaniu, ujrzysz wreszcie, że daremne — o wierzaj mi, to jest wygnaniem i takiem wygnaniem, jakiem Bóg tylko w największym gniewie karze grzesznika«.

W liście zaś do Gaszyńskiego pisze Krasiński: »Gorzkie przetrwałem chwile. Ten cały czas przebolałem, przeszalałem, przechorowałem. Wszystkich sposobów używałem, by dostać się do was, ale silniejsze nad moje ramiona zapory drogę mi zajęły. Musiałem słuchać o waszych bojach i siedzieć na miejscu. Dnie i noce na gorączce z początku, później na szaleństwie schodziły. Wycierpiałem za winy wszystkich przodków moich...«

Nadeszła wieść o ostatecznej klęsce i o zajęciu Warszawy przez Moskali. Z piersi poety dobył się jęk... A potem złożył Krasiński ślub: »wszystko dla niej, dla tej ziemi: i życie moje i trudy moje, dni me i noce, smutki i radości. Wszystko dla niej: i szabla moja i lutnia — wszystko, aż do ostatniego tchnienia!...«

Ślubu dochował wiernie. Pracował dla Polski aż do zgonu.

A w tym czasie, kiedy to chorował i szalał, pisał utwór po utworze, w podnieceniu, w gorączce. Wtedy to powstał wymieniony »Wygnaniec« tudzież »Adam Szaleniec« (znany dziś tylko ze streszczeń), a po upadku powstania obok szeregu utworów i artykułów obszerna powieść p. t. »Agaj - Han« (wydana w r. 1834). Już i ta powieść miała być służbą ojczyźnie, osnuta bowiem na tle walk Polski z Moskwą w dobie Samozwańców, miała przeciwstawić klęsce roku 31go chwałę oręża polskiego z tych czasów, kiedy Polska osadzała władzców na tronie rosyjskim. Miała więc dodawać otuchy, a budząc świetne wspomnienia przeszłości, szcze-

pić wiarę, że to, co minęło, może powrócić. Jak wszelako dojść do tego, by odzyskać, co utracone, co czynić, by mieć nietylko nadzieję, ale pewność zwycięstwa, na to poeta da odpowiedź później, po wielu godzinach, dniach i tygodniach samotnych rozmyślań.

Petersburg. — Irydion.

W maju r. 1832., kiedy cała Polska pokryta była kirem żałoby po upadku walki o wolność i po stracie tysięcy najlepszych synów, generał hr. Wincenty Krasiński wezwał syna Zygmunta do powrotu. Chciał pojechać z nim razem do Petersburga i przedstawić go carowi. Zygmunt — jak zawsze — usłuchał — i w sierpniu był już wraz z ojcem w stolicy Rosyi. Ale słaby organizm nie zniósł tych mąk moralnych i poeta popadł w niebezpieczny rozstrój. Rozwinęła się także ciężka choroba oczu. Mimoto musiał Krasiński przedstawić się carowi, Mikołajowi I. Car przyjął syna generała niezwykle łaskawie, ofiarował mu urząd dworski, ale poeta, nie licząc się już w tym wypadku z wolą ojca, zdołał uchylić się od tej godności. Za pozór posłużyła choroba. Był zresztą poeta istotnie chory, przez pięć miesięcy, które przepędził w stolicy Rosyi, prawie nie opuszczał swego mieszkania. Ale jak we Włoszech i Szwajcaryi na wieść o wybuchu powstania »cały czas przeszalał, przechorował«, tak tu w Petersburgu cały czas

przemyślał. Widział potęgę Rosyi i słabość Polski, serce jego wzbierało nienawiścią ku wrogowi i gorzało miłością niezmierną ku ojczyźnie. Więc pytał w męce: co czynić, by Polska zmartwychwstała? I odpowiedź po długich rozmyślaniach znalazł. Złożył ją w utworze p. t. Irydion[1]).

Kogo oznacza to imię? Irydion, to Grek, który żyje w czasach, kiedy Grecya dawno już postradała wolność, ujarzmiona przez niesyte nigdy łupów, państwo rzymskie. Zniewieścieli Grecy zapomnieli zupełnie o bohaterskiej swej przeszłości, o swobodzie, o niepodległości — żyją w upodleniu. Ale w rodzie Irydiona nie zapomniano o niczem. Tam od pokoleń przekazuje nienawiść ku Rzymowi ojciec synowi, tam myśl o pomście na Rzymie pielęgnuje się od wieków. A czasy zdają się sprzyjać wykonaniu tej myśli: w Rzymie wszystko rozprzęga się i szaleje, »bogi i ludzie szaleją«. Więc ojciec Irydiona przygotowania do dzieła zemsty czyni obszerne, z ludami podbitymi przez Rzym zawiązuje stosunki, zawiera przymierza, a za żonę pojmuje córkę króla normandzkiego, wieszczkę Grymhildę. Po jej śmierci przenosi się do Rzymu i tu uczy syna, jak nienawidzieć Romy.

Irydion podjął dzieło ojcowskie. — Wspomagał go radą powiernik i nauczyciel, niegdyś przy-

---

[1]) Utwór ten był kilkakrotnie przerabiany, ale w styczniu 1833, w Petersburgu, pierwszy szkic był już gotów. Wyszedł poemat dopiero w r. 1836 w Paryżu.

jaciel ojca, tajemniczy starzec Masynissa. Ten popychał Irydiona do czynu, podniecał uczucia zemsty, wskazywał środki działania. Na tronie Cezarów zasiadał potworny błazen, cesarz Heliogabal — tego trzeba było opanować. Sposób wskazał Irydionowi Masynissa: poświęcić siostrę rodzoną, oddać ją na łup rozpustnemu cezarowi, ale przez siostrę zawładnąć znikczemniałym władcą Rzymu, strachem go wiecznym poić, truć mu myśl, spokój, a struchlałemu wskazywać jako jedynego zbawcę — Irydiona. Irydion rady posłuchał: siostra jego Elsinoe poszła do pałacu Heliogabala...

Do wykonania dzieła zemsty trzeba było jednak sprzymierzeńców. O tych nie było trudno. Niezadowolonych było mnóstwo: niewolnicy, gladyatorowie, barbarzyńcy, skrzywdzeni przez cezarów potomkowie słynnych rodów. Tych wszystkich Irydion pozyskał, ale było to jeszcze mało. O zwycięstwie mógłby pomyśleć wtedy dopiero, gdyby go wsparły mnogie rzesze chrześcijan. By znaleźć wśród nich stronników, Irydion przyjął wprawdzie chrzest i zdołał nawet zapewnić sobie pomoc niektórych chrześcijan, młodszych i gorętszych, ale nie ufa sobie, czy zdoła wszystkich współwyznawców porwać do czynu, więc — znów za radą Masynissy — postanawia usidlić najświętszą z chrześcijanek dziewicę, Kornelię Metellę, użyć jej za narzędzie i przez nią oddziałać na wyznawców Chrystusa. Powodzi mu się to. Chrześcijanie pod wodzą niejakiego Symeona z Koryntu gotowi iść za głosem kobiety, którą uważają za świętą, a Kor-

nelia, opętana przez szatana, woła: do broni, do broni...

Barbarzyńcy, gladyatorowie, niewolnicy, chrześcijanie — to dość, by zwyciężyć. Byle wszyscy dotrzymali słowa...

Przeszkodę stanowi jeszcze obóz starorzymski, ludzie zacni, piastunowie cnót dawnych. Ci z Ulpianem na czele skupili się około osoby Aleksandra Sewera, siostrzeńca Heliogabala i myślą poważnie o usunięciu niedołężnego rozpustnika z tronu, osadzeniu na nim Aleksandra i ratowaniu chylącego się do upadku państwa rzymskiego. To najwięksi wrogowie Irydiona, bo oni kochają to, co on najbardziej nienawidzi: Rzym. Do walki na śmierć i życie musi przyjść między nimi!

Tak też się dzieje. Gdy straż przyboczna Heliogabala burzy się z powodu nieotrzymania żołdu, a zwolennicy Aleksandra Sewera postanawiają skorzystać z tego i ogłosić Aleksandra cesarzem, Irydion staje po stronie Heliogabala. Oczywiście pozornie. Jemu przecie o ratowanie tego potwora i krzywdziciela jego siostry nie chodzi — on chce doprowadzić do wojny domowej, do zamętu, chce zabić Aleksandra Sewera, a Rzym zburzyć, zniszczyć, spalić, by i ślad nie pozostał po tem potwornem, zbrodniczem mieście, które odebrało wolność jego miłości najwyższej — Grecyi.

I oto losy Romy mają się rozstrzygnąć. Najwyższa rada państwowa i senat uchwala śmierć Heliogabala, Aleksander z wojskiem stoi u wrót miasta. Heliogabal, by ratować się, oddaje Irydio-

nowi najwyższą władzę — a Irydion pomyślał już o wszystkiem. Oddziały gladyatorów i niewolników porozstawiane po całem mieście, wszyscy czekają tylko hasła. Wówczas buchną wśród nocy płomienie, po mieście rozleje się pożoga i rozpocznie się rzeź. Wszyscy czekają tylko hasła. Ale Irydion hasła dać nie może, bo brak jeszcze wśród jego szeregów chrześcijan, a bez nich siły jego za słabe. Ogarnia go niepokój...

»Im bliżej godziny — zwraca się do Masynissy z wyznaniem — tem srożej krew moja szaleje... Wszyscy dotrzymali słowa, wszyscy idą na zgubę Romy — Nazarenów tylko jeszcze nie widać. Ale Symeon przysiągł, że o trzeciej godzinie sam ich przyprowadzi do mnie«.

»Niedługo ci czekać« — odpowiada chłodno Masynissa.

IRYDION.

»O nocy! nie skąp mi chmur i wiatrów — przez wieki potem świecić będziesz jasno i cicho nad rozwalinami; czas mi się ociąga — czas mi dolega, starcze!

MASYNISSA.

I mnie także. — Lecz ja czekam dłużej, niż ty, na upadek wroga i czekam w milczeniu...

IRYDION.

Miasto całe w płomieniach! — nie! — tylko w źrenicy mojej buchnęły pożary. Gdzie oni? gdzie

chrześcijanie? Coraz czarniej, coraz ciszej w dole — coraz wietrzniej w górze — a ich niema jeszcze?

MASYNISSA.

A gdyby nie przyszli?

IRYDION.

Nie przeklinaj mnie. Na nich oparta cała moja potęga. Na ich czele zbiegnę miasto i ludowi rzymskiemu przypomnę Brennusa [1]). Gladiatorzy i żołnierze moi bez nich nie wystarczą tłumom. Jeśli mnie zdradzili, zginąłem!

MASYNISSA.

Dośpiewują hymnów swoich — bądź cierpliwy, synu!

IRYDION.

Konam jak Prometeusz... [2]). Czego ty milczysz? — ozwij się Masynisso — niech żyje Hellada [3]).

MASYNISSA.

Milczę, bo godzina naznaczona minęła w tej chwili i każde pióro jej skrzydeł śmiechem przydłużonym szumiało w przelocie. Teraz nic już nie słychać.

IRYDION.

Wbrew losom i ludziom niech się stanie wola ojca mego! (Porywa za pochodnię — by podpalić

---

[1]) Słynny wódz Gallów.

[2]) Starożytny bohater, któremu — według podania — sęp miał wyżerać wątrobę.

[3]) Grecya.

stos i w ten sposób dać hasło). Cześć ziemi greckiej, cześć!... Ha! kto idzie? odpowiedz, czarne widmo!

POSŁANNIK.

Pokój tobie w imieniu Jezusa Nazareńskiego!

IRYDION.

Tak — tak — cóż dalej?... gdzie bracia?

POSŁANNIK.

Symeon wzywa ciebie w rozpaczy... Biskup zatrzymał wszystkich zbrojnych spieszących ku miastu!

IRYDION.

Dzięki ci, sługo świętych. — Patrz! zimny jestem — nie zabiję ciebie. (Depce pochodnię). Ty jedna tylko umieraj. (Do Masynissy). Jeśli kto z moich wróci, niechaj siądzie i czeka!«

Z temi słowy odchodzi, a gdy mu zwracają uwagę, że nie wziął szyszaka, odpowiada »By zwyciężyć, dość miecza — by zginąć, nie trzeba hełmu«. Podąża do katakomb do chrześcijan, ale tam próżne jego usiłowania — tam zwycięscą jest biskup, przedstawiciel idei chrystusowej, religii miłości, nie — zemsty. Napróżno ucieka się Irydion do pomocy Metelli — i ona przejrzała i w pokucie umiera. Irydiona biskup wyklina. A w tej chwili właśnie wbiega posłannik i donosi, że Aleksander Sewerus wkroczył do miasta i bój się rozpoczął. Irydion w rozpaczy — »czas mnie — woła — ubiegł,

ludzie mnie zdradzili!« Wyrywa krzyż z pod zbroi i rzuca na ziemię. Podąża ku miastu. Ale tam oddziały jego czekały napróżno hasła, a tymczasem żołnierze Aleksandra Sewera pociągnęli ku sobie straż przyboczną Heliogabala, opornych pokonali i opanowali pałac cezara. Heliogabal zginął, nieszczęsna siostra Irydiona, Elsinoe, pchnęła się sztyletem. Szlachetny Aleksander Sewerus odesłał zwłoki Elsinoi Irydionowi, a jemu obiecał przebaczenie, jeśli przysięże mu wierność i wyda wspólników. Ale Irydion z pogardą odrzuca te propozycye i rozpoczyna bój śmiertelny z wojskami Aleksandra.

Ponosi klęskę...

Opuszczony przez swoich, wstępuje na stos Elsinoi, ażeby zginąć w płomieniach. W tej chwili zjawia się obok tajemniczy starzec Masynissa. I rozpoczyna się między nimi rozmowa — krótka, ale straszna.

IRYDION.

I ty przybyłeś nareszcie — ustąp się, człowieku! To nie twoja godzina jeszcze — to moja! Tam idź, idź — tam Cezar ci przebaczy!

MASYNISSA.

Za mną, synu!

IRYDION.

Nie znam ciebie.

MASYNISSA.

Strzegłem cię wśród walki — ale tyś mnie nie widział, wspierałem w rozpaczy — ale tyś mnie nie widział. Teraz przychodzę cię zbawić!

IRYDION.

Giń wraz ze mną, jeśliś cnotliwy!

MASYNISSA.

A jeślim nieśmiertelny?
(Porywa go w objęcia).

IRYDION.

Czemże jesteś!

MASYNISSA.

Bogiem!
(Zapada z nim).

Masynissa skłamał. Nie jest on Bogiem, lecz s z a t a n e m...

Po chwili widzimy go wraz z Irydionem na szczycie gór. W mglistej oddali widnieje Rzym... Masynissa obiecuje Irydionowi niepamięć przeszłości i wiedzę przyszłości, żądz tysiąc i sił tysiące, obiecuje mu oddać władzę nad całem plemieniem w dalekich stronach aż do czasu, kiedy walka z Rzymem rozgorzeje na nowo, ale Irydion nie ulega pokusie. »Słaby geniuszu — odpowiada — w twoich skarbach niema nic dla Irydiona«.

MASYNISSA.

A jeśli wieki zniszczę dla ciebie?

IRYDION.

Co?

MASYNISSA.

Jeśli cię wyrwę z pośród pędzących fal czasu i złożę na miękkim brzegu, uśpię cię na łonie nicości i zapomnienia, aż do chwili, w której te wieże rozrzucę i wbiję do ziemi? — Jeśli wtedy obudzę cię takim, jakim dzisiaj jesteś?

IRYDION.

W Rzymie, po latach wielu?

MASYNISSA.

Tak, by dopełniła się jedyna żądza twoja, byś deptał ruiny i popioły!

IRYDION.

Ale nie, kiedy płomienie wrzeć będą...

MASYNISSA.

Kiedyż więc?

IRYDION.

Kiedy na Forum [1]) będą prochy tylko!
Kiedy na cyrku będą kości tylko!
Kiedy na kapitolu [2]) będzie hańba tylko!

MASYNISSA.

Ale wtedy, synu...

IRYDION.

Będę twoim — przysięgnij!

---

[1]) Forum: rynek w starożytnym Rzymie.
[2]) Zamek w starożytnym Rzymie, świątynia Jowisza.

MASYNISSA.

Przyrzekam zachować twe ciało. Przyrzekam duch twój uśpić i wskrzesić. Przez to, co On nazwał złem, przez jedyne dobro moje przyrzekam! Teraz daj rękę!

IRYDION.

Bierz tę nieszczęśliwą, co napróżno walczyła!

MASYNISSA.

Wszystkie potęgi nocy zgromadzone nad tobą i otchłań, matka moja, słucha twej przysięgi! Wyrzekasz się Wroga mego?

IRYDION.

Wyrzekam się. — Ach! jęk rozpaczy przeleciał mi nad głową!

MASYNISSA.

Nie zważaj!

IRYDION.

Patrz! skała porysowała się w krzyże i czarne krople na nich. — Ach! patrz, krople krwi się sączą...

MASYNISSA.

Nie zważaj, synu.

IRYDION.

Burza zrywa się nad morzem. — Ach! ach! ktoś woła na mnie — tam — daleko — coraz dalej — czy słyszysz?

MASYNISSA.

A teraz?

IRYDION.

Milczenie.

MASYNISSA.

Razem więc na wieki, bez końca, bez odpoczynku, bez nadziei, bez miłości, aż dopełni się wiekuista zemsta.

IRYDION.

Razem — bylebyś wprzódy dopełnił śmiertelnej!

MASYNISSA.

Stało się — za mną teraz.

IRYDION.

Gdzie?

MASYNISSA.

Do brzegów jeziora, do chłodu jaskini, pod liście winne i bluszczane wieńce — kędy ni zorzy, ni gwiazd niemasz, ni głosów, ni bolu, ni marzeń. — Tam spoczywać będziesz, aż wnijdziesz do królestwa mego!

IRYDION.

Idźmy — mnie Rzym, tobie duszę moją.

Masynissa usypia tedy Irydiona. Budzi go dopiero po wiekach, w 19tem stuleciu, i pokazuje mu Rzym, ten sam Rzym, który trząsł światem całym, który podbił dziesiątki ludów, łupił miasta, drżeniem

napełniał wszystkie strony świata — w ruinie, w prochu, w nicości. Połamane łuki i kolumny, w gruz rozpadłe świątynie... I nic nie pozostało z tego pogańskiego, rozbójniczego miasta, nic — jeno gruz a proch. Serce Irydiona napawa się rozkosznem uczuciem zemsty. Oto wróg jego ojczyzny, morderca Grecyi, leży bez życia, przestał istnieć, niema go. Niema Rzymu! Irydion »uradował się w sprawiedliwości zemsty swojej...« Ujrzał to, czego tak gorąco pożądał...

A teraz miał pójść tam, »kędy miliony«, gdzie królestwo Masynissy... Ale oto niespodzianie wzrok jego padł na krzyż czarny na środku areny Colosseum, i poczęły się w piersiach Irydiona budzić jakieś wspomnienia bardzo a bardzo odległe, wspomnienia jakiejś świętej twarzy dziewiczej...

»Synu! czas!« zabrzmiał głos Masynissy. Ale inny głos jakiś, głos słodki dziewiczy »wzywał starca napowrót przed stopnie krzyża na sąd nierozstrzygniony jeszcze«. I rozpoczął się nad głową Irydiona spór wyroczny, ostatni. »Wrogu nieśmiertelny! — wołał Masynissa — on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy«. Lecz anioł — Kornelia Metella — rozwiązując tęczę skrzydeł: »O Panie! on jest moim, bo on kochał Grecyę«.

I od walki potęg zamgliło się powietrze...

Aż wreszcie Masynissa rozpłynął się jak cień w mgle zarannej, a nad głową Irydiona zabrzmiał głos, co zleciał jak piorun o połyskach świtu:

»Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz

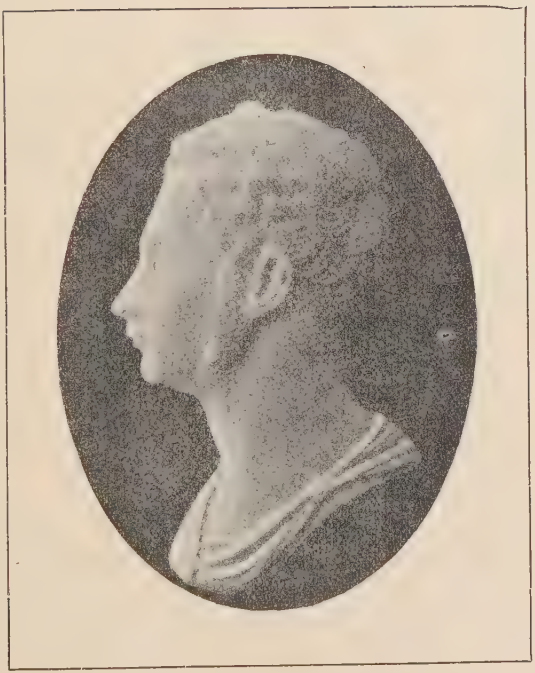

Zygmunt Krasiński
(w r. 1834).

na ziemi mogił i krzyżów. — Poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci — po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców — poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy.

Idź i zamieszkuj wśród braci, których ci daję — tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysiąców wcielą cię w jedno serce twoje!

Idź i ufaj imieniowi mojemu. Nie proś o chwałę twoją, ale o dobro tych, których ci powierzam — bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — oni przeminą, ale ty i słowo moje nie przeminiecie.

A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — udaruję was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem, i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością.

Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartychwstaniesz nie ze snu jako wprzódy było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym synem niebios!«

Poemat skończony.

Zapytajmy, kim jest Irydion?

Irydion to uosobienie miłości ojczyzny, wyobraziciel tych wszystkich, którzy za szczęście swej ziemi i za zemstę nad wrogiem oddaliby duszę własną. Czegożby on nie poświęcił, by tylko zdusić wroga ziemi ojczystej! Poświęcił naprawdę nawet własną duszę! A jednak dzieła zemsty nie dokonał — zawiedli go chrześcijanie! Dlaczego go zawiedli? Bo ich miejsce nie tam, gdzie brzmią okrzyki i zemsta na wroga, bo zemsta jest rzeczą niemoralną, złą... Chrześcijanie opuścili Irydiona, bo szedł on mścić się, nie budować. Więc Irydion dzieła nie dokonał, Rzym ocalał — dalej wielki i potężny... A jednak?...

A jednak po wiekach z tej potęgi pozostały jeno rozwaliska, groby i prochy. Rzym runął. Ale nie przez zemstę podbitej Grecyi; runął, bo jest wyższa sprawiedliwość dziejowa, która zbrodnie karze, runął, bo w państwie rzymskiem zamarły cnoty, bo żył Rzym tylko zaborem i rozbojem i uciskiem. Runął Rzym pogański, ale nad światem zapanował Rzym chrześcijański, zapanował krzyż, znak miłości...

I oto nauka, której Krasiński chciał udzielić narodowi polskiemu. Nie zemstą nad wrogiem powstaniesz — woła on do swego narodu — zemstę pozostaw Opatrzności sprawiedliwej, której prawica dosięgnie zaborców i ciemiężców, nie zemstą powstaniesz, ale miłością i pracą. I dlatego Bóg wysyła Irydiona do »ziemi mogił i krzyżów«, do Polski, ociekającej krwią, katowanej i tu każe mu odbyć powtórną wędrówkę życia, być Polakiem

i znosić wszystkie katusze niewoli, ale nie rozpaczać i nie mścić się, lecz pracować. Pracować bez wytchnienia nad narodem swym, pracować w zaparciu, czasem w męce, pracować »choć serce wyschnie w piersiach«. Społeczeństwo, które chce odzyskać wolność, nie może dążyć do tego niemoralnymi środkami, społeczeństwo, które chce żyć, musi dobywać z siebie życie, musi tworzyć, musi doskonalić duszę własną i kuć swą dolę, dopóki jej nie wykuje. I musi ufać, że praca wytrwała, praca bez wytchnienia, podejmowana stale dla dobra i miłości ojczyzny musi doprowadzić do celu...

Ciemięzcy padną dlatego, bo są ciemięzcami, paną bez naszej zemsty, ale naród polski nie odzyska wolności, jeśli jej pracą nie zdobędzie. Oto wielka myśl, którą Krasiński wypowiedział w swym poemacie.

Jak wspaniały to poemat — tego oczywista nikt nie pozna ze streszczenia; trzeba go czytać! I czytać nie raz i nie dwa. Tam każde słowo w duszę zapada, tam każde zdanie pobudza do rozmyślań. Myślami, które w poemacie tym wypowiedział poeta, my dziś karmimy się, my z tego poematu otuchy czerpiemy i wiary...

Poemat jednak mówi do nas nietylko myślą przewodnią, ale także swem pięknem. Podziwiamy posągową postać Irydiona, groźną Masynissy, przecudną postać Kornelii... Podziwiamy przepiękny, spiżowy język, jego zwartość i moc.

Wielkie dzieło stworzył poeta. Jedno z największych, jakie mamy w literaturze polskiej. Jedno z najmędrszych i najpiękniejszych...

Nieboska Komedya.

Podczas pobytu w Petersburgu zarysował się w duszy Krasińskiego pomysł innego jeszcze utworu. Pisał go poeta w r. 1833. w Wiedniu, gdzie bawił w drodze powrotnej z Petersburga, a gdy w listopadzie w tymże roku przybył do Rzymu, utwór był już skończony. Tytuł utworu: »Nieboska Komedya«.

Jak »Irydion« powstał z rozmyślań nad przyszłością narodu polskiego, tak »Nieboska Komedya« jest owocem dumań poety nad przyszłymi losami społeczeństw europejskich. A były to czasy, w których walki społeczne zaostrzały się. Między pracodawcami a robotnikami dochodziło do krwawych zatargów, w Lyonie wybuchła nawet rewolucya i rewolucyoniści odnieśli chwilowy tryumf. We Francyi głoszono zasady, że ludzkość do szczęścia dojść może tylko przez krew, z Polski dochodziły Krasińskiego wieści o istnieniu klubów, które takie same rzucały hasła.

»Oczywistem jest — pisał poeta w liście do ojca — że szybko zbliża się upadek tera-

źniejszego towarzystwa Europejskiego, że wszędzie równowaga zerwana, nadpsuta zgoda, nadwątlone posady, i pod zasłoną zawichrzeń i nieładu, coś nowego, nieznanego, o którem nie domyślamy się nawet, usiłuje wyjść na wierzch i świat ten zagarnąć.

»W podobnem jesteśmy położeniu do państwa Rzymskiego, konającego pod napadem barbarzyńców. I wtedy cywilizacya wysokiego była doszła stopnia, i wtedy już ludzie nasycili się byli wszystkiem do woli, do sytości: naukami, poezyą, rozkoszami, krwią gladyatorów, więc wpadli w nudę i niemoc...

»My dzisiaj inaczej postępujem co do formy, tak samo co do ducha. Spieszą się ludzie z swoimi pismami, mowami... Niema dnia, żeby starych gałganów nie zeszyli w świeże chorągwie, pod które zwolenników cisną się tłumy. Kto kiedy widział więcej zbytku w uroczystościach, w obiadach, w balach? Ogromny ruch wszędzie się objawia. Lud wycina żołnierzy po miastach i pali domy. Poeci szaleją i nie dadzą odpocząć drukarzom. Filozofowie marzą o nowych zbawicielach świata. Sekty nowe zjawiają się.

»...W Paryżu... mają nadzieję, że nową wiarą świat ten stary odmłodnią. A tymczasem młodzież w nic nie wierzy, upija się marzeniami rozgorzałej wyobraźni i kiedy się zatacza na brzegiem przepaści, w którą to całe pokolenie runąć musi, chlubi się, że nową drogę odkryła i spodziewa się na niej zwycięstw i chwały. Ale wszyscy

jednozgodnie czegoś się spodziewają, przeczuwają, że coś wielkiego, strasznego ma nadejść...

»...Nam ludziom teraźniejszego pokolenia trudne zaiste dostało się życie. Stoimy zawieszeni między przeszłością a przyszłością; kochamy przeszłość, bośmy jej dzieci przecież, a wszystko nas od niej odrywa i popycha ku przyszłości, której nigdy nie ujrzymy, bo przed jej ustaleniem, zapewne kilka generacyj jeszcze męczyć się i silić będzie i upadnie wśród walki. Jedynym tu puklerzem jest wiara w Chrystusa i odwaga, bo całe nasze życie będzie burzą«.

Poeta — widzimy — patrzył bystro, wnikał w ducha czasu głęboko, zastanawiał się nad każdym objawem wszechstronnie i doszedł do przekonania, że zbliżają się straszne czasy, czasy, »w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga«.

Co to za zbrodnie nowe i stare? Na to da nam odpowiedź »Nieboska Komedya« [1]).

W Europie wybuchła rewolucya. Chłopi rzucili się na szlachtę, lokaje na panów, robotnicy na fabrykantów. Krew leje się strugami, w powietrzu błyszczą noże... Na czele rewolucyi stoi nieograniczony pan życia i śmierci tłumów, człowiek woli stalowej — Pankracy. Jego siłą: potężny rozum i brak wszelkich uczuć ludzkich. Z twarzy już wyczytasz, co mieści się we wnętrzu: twarz to

[1]) Wyszła w Paryżu 1835, bezimiennie.

o wzroku zimnym a pewnym, nie zadrgnie na niej żaden muskuł. Czoło szerokie, głowa łysa. Głosi on hasła równości bezwzględnej, ale sam rządzi despotycznie, a kiedy towarzysz jego i pomocnik, Leonard, śmiał przemówić do niego głosem podniesionym, Pankracy odezwał się krótko: »nie krzycz, bo gdyby nas kto podsłuchał...« »Tu szpiegów niema, a potem cóż?« — pyta Leonard. »Nic — odpowiada Pankracy — tylko pięć kul w twoich piersiach za to, żeś śmiał głos podnieść o ton jeden wyżej w mojej przytomności«. Tak od razu przedstawia się nam wódz rewolucyi i obrońca równości.

Fala rewolucyi rozlewa się jednak coraz szerzej. Ci, którzy bronić chcą dotychczasowego porządku, panowie, szlachta, schronili się w Okopach św. Trójcy, bezradni, przerażeni, bez wodza. Ale wódz się znachodzi. Jest nim potomek starożytnej rodziny, możny pan, hr. Henryk, który choć w zwycięstwo nie wierzy, chce zakosztować słodyczy dowództwa i odegrać rolę bohaterską. Postanawia najpierw zwiedzić obóz rewolucyonistów w przebraniu. Oprowadza go Przechrzta.

W borze, na środku łąki, wznosi się ohydne drzewo szubienicy, a w koło tego drzewa tańczą i śpiewają mężczyźni i kobiety:

»Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie — hura — hura!

Bóg nad nami nie miał litości — hura — hura.

Królowie nad nami nie mieli litości — hura — hura.

Panowie nad nami nie mieli litości — hura — hura.

My dziś Bogu, królom i panom za służbę podziękujem — hura — hura.

HR. HENRYK *(do dziewczyny).*

Cieszy mnie, żeś tak rumiana i wesoła.

DZIEWCZYNA.

A dyć tośmy długo na taki dzień czekały — juści ja myłam talerze, widelce szorowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas, bym jadła sama — tańcowała sama — hura.

HR. HENRYK.

Tańcuj obywatelko.

PRZECHRZTA *(cicho).*

Zmiłuj się JWPanie — ktoś może cię poznać — wychodźmy.

HR. HENRYK.

Jeśli kto mnie pozna, toś zginął — — idźmy dalej.

PRZECHRZTA.

Pod tym dębem siedzi klub lokai.

HR. HENRYK.

Przybliżmy się.

PIERWSZY LOKAJ.

Jużem ubił mojego dawnego pana.

DRUGI LOKAJ.

Ja szukam dotąd mojego barona — zdrowie twoje.

KAMERDYNER.

Obywatele, schyleni nad prawidłem w pocie i poniżeniu, glancując buty, strzyżąc włosy, poczuliśmy prawa nasze — zdrowie całego klubu.

CHÓR LOKAI.

Zdrowie prezesa — on nas powiedzie drogą honoru.

KAMERDYNER.

Dziękuję, obywatele.

CHÓR LOKAI.

Z przedpokojów, więzień naszych, razem zgodnie, jednym wypadliśmy rzutem. — Vivat. — Salonów znamy śmieszności i wsteczności. — Vivat — vivat.

HR. HENRYK.

Cóż to za głosy, twardsze i dziksze, wychodzące z tej gęstwiny na lewo?

PRZECHRZTA.

To chór rzeźników, JWPanie.

CHÓR RZEŹNIKÓW.

Obuch i nóż, to broń nasza — szlachtuz, to życie nasze. — Nam jedno, czy bydło czy panów rznąć.

Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na dru-

gich słabszych i bielszych — kto nas powoła, ten nas ma — dla panów woły, dla ludu panów bić będziem.

Obuch i nóż broń nasza — szlachtuz życie nasze — szlachtuz — szlachtuz — szlachtuz.

Kolejno spotyka hr. Henryk coraz nowe grupy, wszystko jednak, co widzi i słyszy, poucza go o jednem: że tłum nie da się już w zemście powstrzymać, że nie uszanuje nic z przeszłości — burzy nawet kościoły — że myślą przewodnią tego tłumu jest panować i używać. Wraca tedy hr. Henryk do siebie, ażeby przygotować odsiecz Okopom św. Trójcy. Nim wyruszy, odwiedzi go gość dziwny i niespodziany — Pankracy.

Pankracy cenił przeciwnika, wiedział, że hr. Henryk przewyższa wszystkich ze swego obozu, widział w nim dumę, która go niepokoiła. Chciał spróbować, czy nie przekona tego, który sam jeden rewolucyi się nie lękał, chciał się z nim zetknąć...

Hr. Henryk przyjął gościa w swych komnatach — czyż mogło jednak dojść między nimi do porozumienia?

»Spojrzyj na te postaci — mówił hr. Henryk do Pankracego, wskazując na portrety przodków swoich — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. — Ale ty człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja? Wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wscho-

dzie go zwijasz i koczujesz dalej. Dotąd nie znalazłeś ogniska swego i nie znajdziesz, dopóki stu ludzi zechce powtórzyć ze mną: Chwała ojcom naszym.

PANKRACY.

Tak, chwała dziadom twoim na ziemi i niebie — w rzeczy samej jest na co patrzyć.

Ów starosta baby strzelał po drzewach i żydów piekł żywcem. — Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem — kanclerz — sfałszował akta, spalił archiwa, przekupił sędziów, trucizną przyspieszył spadki — stąd wsie twoje, dochody, potęga. — Tamten czarniawy, z ognistem okiem cudzołożył po domach przyjaciół, ów z runem złotem w kolczudze włoskiej, znać służył u cudzoziemców — a ta pani blada z ciemnemi puklami kaziła się z giermkiem swoim... Stąd wasze genealogie bez przerwy, bez plamy. — Lubię tego w zielonym kaftanie — pił i polował z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał, by z psami gonili jelenie. Głupstwo i niedola kraju całego. — Oto rozum i moc wasza. — Ale dzień sądu blizki i w tym dniu obiecuję wam, że nie zapomnę o żadnym z was, o żadnym z ojców waszych, o żadnej chwale waszej.

HR. HENRYK.

Mylisz się, mieszczański synu. — Ani ty, ani żaden z twoichby nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. — Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale — a kiedyście z trzody zwierząt

wyrośli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy.

Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach — one ich popiołów nie wzruszą nawet — one zaginą, jak skowyczenie psa wściekłego, co bieży i pieni się, aż skona gdzie na drodze — a teraz czas już tobie wynijść z domu mego. Gościu, wolno puszczam ciebie.

PANKRACY.

Do widzenia w okopach świętej Trójcy.
A kiedy wam kul zabraknie i prochu...

HR. HENRYK.

To zbliżym się na długość szabel naszych. — Do widzenia.

PANKRACY.

Dwa orły z nas, ale gniazdo twoje strzaskane piorunem.

(Bierze płaszcz i czapkę wolności).

Przechodząc próg ten, rzucam nań przekleństwo należne starości...

Rzecz jasna, że rozmowa między wodzem rewolucyonistów a wodzem arystokratów nie mogła się inaczej zakończyć. Pankracy pospieszył do swoich, hr. Henryk z odsieczą zamkniętym w okopach św. Trójcy. Walczył hr. Henryk odważnie jak lew, dla sławy, dla dumy, ażeby zaspokoić

żądzę władzy, ale bez wiary w zwycięstwo. Wierzyć nie mógł, bo z kim miał zwyciężyć? Zamknięci w okopach mówili o układach, o poddaniu się, ba o wydaniu hr. Henryka Pankracemu! — byle siebie ocalić. To też hr. Henryk cisnął tym znikczemniałym w twarz obelgę straszną:

»Ha! chce się wam żyć jeszcze!

(Do Hrabiego).

A ty czemu uciskałeś poddanych?

(Do drugiego).

A ty czemu przepędziłeś wiek młody na kartach i podróżach daleko od ojczyzny?

(Do innego).

Ty się podliłeś wyższym, gardziłeś niższymi.

(Do jednej z kobiet).

Dlaczegożeś dzieci nie wychowała sobie na obrońców — na rycerzy — terazby ci się zdały na coś — aleś kochała żydów, adwokatów — proś ich o życie teraz.

(Staje i wyciąga ramiona).

Czego się tak spieszycie do hańby? — co was tak nęci, by upodlić wasze ostatnie chwile? Naprzód raczej ze mną, naprzód, Mości Panowie, tam, gdzie kule i bagnety, nie tam, gdzie szubienica i kat milczący, z powrozem w dłoni na szyje wasze.

Ostatecznie jednak, gdy w walce traci syna jedynego, gdy widzi, że obrona daremna, gdy już i nabojów nie stało, a wróg wdarł się w okopy, hr. Henryk rzuca się w przepaść z odłamku baszty.

Pankracy wkracza do twierdzy. Nad wziętymi w niewolę odbędzie się wnet krwawy sąd...

Wódz rewolucyi zadumał się jednak. Ujrzał tę zadumę towarzysz jego Leonard. »Po tylu nocach bezsennych — przemówił do Pankracego — powinienbyś odpocząć, mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich«.

A na to Pankracy:

Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie do końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromy... Trza zaludnić te puszcze — przedrążyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zemsty odkupionem nie jest.

LEONARD.

Bóg wolności sił nam podda.

PANKRACY.

Co mówisz o Bogu — ślizko tu od krwi ludzkiej. — Czyjaż to krew? za nami dziedzińce zamkowe — sami jesteśmy, a zda mi się, jakoby tu był ktoś trzeci.

LEONARD.

Chyba to ciało przebite.

PANKRACY.

Ciało martwe — ale tu duch czyjś panuje... patrz, kamień wystający nad przepaścią — na tem miejscu serce jego pękło (hr. Henryka).

LEONARD.

Bledniesz, mistrzu.

PANKRACY.

Czy widzisz tam — wysoko — wysoko?

LEONARD.

Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą, na której dogasają promienie słońca.

PANKRACY.

Znak straszny pali się na niej.

LEONARD.

Chyba cię myli wzrok.

PANKRACY.

Milion ludu słuchało mnie przed chwilą — gdzie jest lud mój?

LEONARD.

Słyszysz ich okrzyki — wołają ciebie — czekają na ciebie.

PANKRACY.

Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień.

LEONARD.

Kto?

PANKRACY.

Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad przepaściami — oburącz wsparty na krzyżu, jak na

szabli mściciel. Ze splecistych piorunów korona cierniowa.

LEONARD.

Co się z tobą dzieje, co tobie jest?

PANKRACY.

Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw.

LEONARD.

Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy stąd — chodźmy — czy słyszysz mnie?

PANKRACY.

Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch.

LEONARD.

Czy dobrze tak?

PANKRACY.

Nędzne twe ręce — jak u ducha, bez kości i mięsa — przejrzyste jak woda — przejrzyste jak szkło — przejrzyste jak powietrze. — Widzę wciąż.

LEONARD.

Oprzej się na mnie.

PANKRACY.

Daj mi choć odrobinę ciemności.

LEONARD.

O mistrzu mój!

PANKRACY.

Ciemności — ciemności.

LEONARD.

Hej! obywatele — hej! bracia demokraty na pomoc. — Hej! ratunku — pomocy — ratunku.

PANKRACY.

Galilee vicisti [1]).

(Stacza się w objęcia Leonarda i kona).

Co za zjawisko zobaczył Pankracy? Oto Chrystusa, ale nie dobrotliwego baranka, lecz sędziego strasznego, takiego, jaki miał się zjawić »w ostatni dzień«. Od błyskawicy wzroku Chrystusowego padł Pankracy trupem, ale wprzód wyszeptał »Zwyciężyłeś Chrystusie!«

Jak to, więc to Chrystus zwyciężył? nie Pankracy, nie wódz rewolucyi, nie zdobywca okopów? Tak, Pankracy nie zwyciężył. Nie zwyciężył, bo umiał on tylko nienawidzieć i niszczyć, a gdy pomyślał o tem, że po przejściu burzy rewolucyjnej trzeba rozpocząć pracę twórczą, uczuł, że brak mu sił. Czyż potrafi on kierować tym tłumem, gdy przyjdzie mu prowadzić go już nie na rzeź, lecz na posterunki pracy? Czy dusza tego tłumu, znieprawiona rozlewem krwi, rabunkiem, rozpustą, znajdzie w sobie dość mocy, by zerwać z rozpasaniem a jąć się pracy twórczej? Czy może wydać

[1]) Chrystusie zwyciężyłeś.

owoc błogosławiony dzieło poczęte z nienawiści i zemsty, dzieło, które jest zaprzeczeniem idei Chrystusowej, religii miłości? To samo pytanie, z którem spotkaliśmy się już w Irydionie, lecz rozszerzone na całą ludzkość. I odpowiedź ta sama: nienawiść i zemsta nie stworzą nic dodatniego, nie przebudują społeczeństwa, bo budować może tylko — miłość. Rewolucya może zburzyć istniejący porządek, ale nie potrafi odrodzić społeczeństwa. Na drogę odrodzenia powiedzie je ten, kto rozpocznie pracę zgodną z ideą chrześcijańską.

»Nieboska Komedya«, mimo że napisana blizko przed wiekiem, nie straciła nic ze swego znaczenia, owszem dziś może bardziej wstrząsać umysłami, niż za czasów Krasińskiego. Przeciwieństwa między dwoma obozami: posiadających i nie posiadających nietylko nie złagodniały, lecz zaostrzyły się, kwestya społeczna wysuwa się na czoło zagadnień życiowych i coraz częściej rozlega się okrzyk »my dziś Bogu, królom i panom za służbę podziękujem — hura — hura« i coraz częściej padają hasła odrodzenia ludzkości przez krew. Nie tędy droga! — woła poeta. — Straszny sąd czeka tych, którzy rozpętają złe instynkty tłumów — w stosunkach między różnemi warstwami społecznemi musi zapanować to samo prawo, które kościół Chrystusów wprowadził już w stosunki między jednostkami — p r a w o m i ł o ś c i.

Miłość i zgryzota. — Chwile zwątpienia i niepokoju. — Przedświt.

Po wydaniu Irydiona i Nieboskiej pisał Krasiński mniej niż dawniej, ale pracować nie przestawał. Z czasów tych pochodzą utwory »Noc letnia«, »Pokusa«, »Modlitewnik« i kilka drobniejszych. W »Nocy letniej« przestrzegał poeta Polki przed poślubianiem obcych, w »Pokusie« ostrzegał Polaków przed pokusami, jakie czyhają na nich na dworach zaborców. Oba utwory godne są poznania, oba poruszają sprawę bardzo ważną, oba mają na celu ratowanie dusz polskich. Nie wolno nam zatracać godności narodowej, nie wolno dla dogodzenia ambicyi osobistej zadawać gwałtu uczuciom patryotycznym. Nie wolno! To przekonanie pragnie poeta wpoić swoim ziomkom. A nie z fantazyi tworzył w tym wypadku Krasiński, lecz poruszony żywo faktami, które zaszły istotnie.

W roku 1838. poznał Krasiński rozwiedzioną z mężem panią Delfinę z Komarów Potocką, a znajomość ta miała zaważyć na szali losów poety. Pani Potocka była kobietą niezwykle inteligentną,

naturą prawdziwie artystyczną i wysoce poetyczną. Poeta czuł dla niej coś więcej niż miłość — bo uwielbienie, a uczucie to wypowiedział w szeregu przepięknych utworów lirycznych. Anioły i duchy szczęśliwe wyzywał — pewny, że i one nie mogą mieścić w piersiach swych więcej szczęścia, niż on, on, który kochał i był kochany przez najdoskonalszą z kobiet.

»Ja was wyzywam duchy i anieli,
Co na błękitu gwiazdach królujecie —
Coście na wieki z czoła smutek zdjęli:
Bom dziś szczęśliwszy na tym smutnym świecie,

Niż wy w niebiesiech. — Nie lękam się wzroków
Waszych tęczanych i skrzydeł z płomienia —
Jak wy, dziś płynę wśród światła potoków —
Jak wy, wznieść mogę nieśmiertelne pienia!

Tę, którą kocham, płaczącą widziałem —
Łzą rozrzewnienia powrót mój witała —
Odtąd sam cały na zawsze skonałem!
Bom zlał się z duszą tej, która płakała.
. . . . . .

Są chwile ludzkie, o! wam niedoścignie,
Wy od nas górniej i piękniej mieszkacie;
Lecz serca wasze wśród niebios wystygłe!
Co piorun szczęścia w nieszczęściu — nie znacie!

Co kropla rosy wśród piekielnej spieki,
Co twarz kochana po długim rozdziele!
Co zmartwychwstanie po śmierci na wieki!
Co kwiat w pustyni, co iskra w popiele!
. . . . . .

Wszelako ojciec, którego odwiedził w jesieni 1838 w Opinogórze, żądał od Zygmunta, by ożenił się z panną Elżbietą Branicką. Poeta opierał się. Nie chciał kłamać uczuć, nie miał odwagi łamać szczęścia własnego i cudzego. Walka miała trwać długo jeszcze — przeznaczeniem poety było przeżywać w życiu ciągłe tragedye...

Tragedyą było także zdrowie Zygmunta. To nigdy nie było dobrem — teraz jednak psuło się coraz bardziej, a choroba wzroku dokuczała coraz boleśniej... Poeta przygotowany był na śmierć. Opanował go też niepokój wewnętrzny. Przeżywał chwile zwątpienia. Zwątpieniem napawał go los własny, ale przedewszystkiem odbierała mu spokój ducha filozofia niemiecka, z którą teraz się zaznajomił, a która głosiła zasady sprzeczne z katolickiemi wyobrażeniami religijnemi. Były chwile, w których twórca Irydiona nietylko wątpił w siebie, ale w których tracił wiarę w przyszłość Polski i ludzkości całej. Męczył się... Ten niepokój, to szukanie prawdy znalazły wyraz w utworach pisanych w tym czasie a wydanych p. t. »Trzy myśli pozostałe po śp. Henryku Ligenzie«[1]).

---

[1]) Są to trzy poematy. W pierwszym z nich p. t. »Syn Cieniów« stara się poeta określić stosunek człowieka do natury i Boga i jego przeznaczenie, w drugim p. t. »Sen Cezary« pragnie wyjaśnić upadek Polski i odgadnąć jej zmartwychwstanie, w trzecim p. t. »Legenda« przepowiada odrodzenie się Kościoła. Poematy te nie są łatwe do zrozumienia; ażeby dobrze pojąć myśli w nich zawarte, trzeba mieć przygotowanie filozoficzne. (Wyszły w Paryżu, 1840).

W męce ducha, którą przebywał, pociechą i osłodą była Krasińskiemu przyjaźń z drugim wielkim poetą, Juliuszem Słowackim — w tych latach bardzo serdeczna. Otrząsnął się jednak Zygmunt całkowicie ze zwątpień dopiero pod wpływem znajomości ze słynnym filozofem polskim Augustem Cieszkowskim. Znakomite dzieło tego filozofa i osobiste jego oddziaływanie utrwaliło Krasińskiego w wierze, wlało mu w serce otuchę i dopomogło do wyrobienia sobie własnego poglądu na sprawy świata, ludzkości i Polski. A te lata pasowania się wewnętrznego, lata wątpień i męki ducha były — jak u wszystkich potężnych jednostek — jakby znojną orką urodzajnej, błogosławieństwem darzącej gleby. Prawdy zdobywa się z trudem. Wieszcz nie rodzi się, wieszcz s i ę s t a j e przez miłość, cierpienie i trud myśli...

A cierpieniom osobistym końca jeszcze nie było. W r. 1842. stracił poeta ukochanego przyjaciela Konstantego Danielewicza. Śmierć tę przeboleł ciężko. Równocześnie jątrzyła się w piersi jego inna rana. Ojciec ze względów rodzinnych nalegał coraz silniej na syna, by prosił o rękę p. Elżbiety hr. Branickiej, nalegał, błagał, zaklinał... A Zygmunt rozpaczał. Czy ma zadać cios ojcu, czy sprzeniewierzyć się ukochanej?... I jak przed laty, gdy miał rozstrzygać między rozkazem ojca, a uczuciem własnem — poszedł za wolą ojcowską, tak uczynił i teraz... W r. 1843. oświadczył się w Rzymie pannie Elżbiecie. Co się jednak w sercu jego działo, o tem świadczy wiersz do pani Delfiny:

»Módl Ty się za mnie — gdy z rozpaczy zginę
Za winę ojców i za własną winę.
Módl Ty się za mnie, by mnie w moim grobie
Nie opiekielnił żal wieczny po Tobie!
Módl ty się za mnie, bym u Boga w niebie
Po wiekach wieków kiedyś spotkał Ciebie
I tam przynajmniej odetchnął wraz z Tobą,
Bo mnie już wszystko trudem i żałobą!
Módl Ty się za mnie, jam żył nadaremnie,
Bo serce Twoje odpada odemnie!
Módl Ty się za mnie, jam Cię kochał wiernie
I tak, jak bezmiar bezmierny, bezmiernie!
Módl Ty się za mnie, bom ja nieszczęśliwy;
Serce me proste, ale los mój krzywy!
. . . . . .
I nic prócz Ciebie nie marzę za światem,
Tylko to marzę, by z mą duszą biedną
Twoja spłynęła w nieśmiertelność jedną;
Więc módl się za mną, bo ja twoim bratem.

Ślub z p. Elżbietą Branicką odbył się w Dreźnie w lipcu 1843. Z czasem poeta przekonał się, że dobrze uczynił, idąc za wolą ojca. W pani Elżbiecie znalazł kobietę nietylko niezwykle piękną, ale rozumną, głęboko religijną, łagodną, szlachetną i zdolną do znoszenia cierpień w poddaniu się i cichej rezygnacyi... Z czasem też pokochał głęboko swą żonę, a wówczas pisał:

Wszystko, com widział, to był sen, wiew, para,
Tyś rzeczywista, Tyś jedna nie mara,
A jednak w Tobie ideału piękno.
Niech więc kolana me przed Tobą klękną,
Niech Ci me ręce podadzą te kwiaty
I niech me usta zbolałe wyjękną,
Szukając kornie brzegu Twojej szaty:
»Tyś piękną«.

Ale tego rodzaju uczucia miała pani Elżbieta wzbudzić w mężu dopiero po latach — na razie czuł się poeta nad wyraz nieszczęśliwym. I tem bardziej musimy go podziwiać. Schorowany, zgnębiony śmiercią przyjaciela, duszę gotów oddać pani Delfinie P., a zmuszany do oświadczyn pannie Elżbiecie Branickiej, więc zrozpaczony, po raz drugi w życiu blizki obłędu — umiał poeta oderwać się od cierpień osobistych, nad bolem swym zapanować, stłumić go, by myślą uderzyć w szczyty, a z szczytów spojrzeć na losy ukochanego swego narodu i zanucić mu pieśń szczęśliwą. Jak on to potrafił, tego nie wiemy, ale że kochać musiał bez miary Polskę ten, kto uginając się pod ciosami nieszczęść osobistych, równocześnie jak prorok oświetlał drogę swej ojczyźnie, to pewna...

W tych to bowiem latach srogich mąk narodził się jeden z najwspanialszych utworów poety — »Przedświt« [1]).

Zastanawiając się nad dziejami ludzkości, dostrzegł poeta uderzającego podobieństwa między chwilą przed samem przyjściem Chrystusa a dobą, w której my żyjemy. Wówczas, przed wiekami, takie samo było rozprężenie w świecie ducha, taki sam był upadek wiary, zamęt... A wtedy zjawił się Cezar i przez podboje swe »ziemię znaną podów-

---

[1]) Zaczęty w r. 1842. w Szwajcaryi po skonie Danielewicza, skończony tegoż roku w jesieni w Nicei, wyszedł poemat w r. 1843. w Paryżu pod imieniem Konstantego Gaszyńskiego.

czas zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec«. Nie wiedział, dla kogo pracował. W niewiele lat później »któż zaczął stąpać po tej bitej drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą i że Bóg, nieznany w Atenach, objawion w Jerozolimie? Czy nie Piotr, czy nie Paweł, czy nie Jan święty?« Dwa tysiące lat upływa, a zjawiają się te same znaki. Rozprzężenie to samo, jest i Cezar. Ale wyższy od tamtego, bo świadomy swego posłannictwa, Cezar chrześcijański — Napoleon! Więc i Chrystus drugi raz objawi się. Ale że chrześcijaninami już jesteśmy, że stosunki między jednostkami ludzkiemi są już chrześcijańskie, więc już nie o jednostki chodzić będzie Chrystusowi, lecz o narody, o stosunki między narodami i państwami. Te stosunki muszą się uchrześcijanić, oprzeć się na idei Chrystusowej. Bez tego niema postępu w dziejach. Wszelako, ażeby między narodami mogły zapanować stosunki oparte na zasadzie chrześcijańskiej, wprzód musi być naprawiona zbrodnia rozbioru Polski. »Dziecko, kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna. Państwo utworu ludzkiego rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią, ale narodowość świętą (świętą, bo dzieło Boże) rozebrać i chcieć zabić — jest targnięciem się przeciwko prawdzie Bożej, prawdzie wiecznej, jest świętokradztwem!« Jedno więc z dwojga: albo idea Chrystusowa będzie się dalej uwidamiać w dziejach ludzkości, a w takim razie musi wprzód Polska odzyskać wolność, albo Polska pozostanie nadal

w niewoli, ale wtedy ustanie postęp w dziejach, święta przyszłość ludzkości przepada.

To są naczelne myśli »wstępu« pomieszczonego przed poematem.

Sam poemat rozpoczyna się przepięknym obrazem. U stóp niebotycznych Alp pod błękitnem niebem włoskiem płynie wieszcz ze swą ukochaną Beatricze [1]).

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam — z daleka — w niebo przodem
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Poza wzgórzem spływa wzgórze,
Z winnic kapią bluszcz i róże!
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, zrana — zwierciadlana
Fala pije niebios smug!
Na wód dole — na skał czole
Jedna piękność — jeden Bóg!
. . . . . .
Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie!
O! anieli czuć nie mogą,
Co ja czuję w tej godzinie!
Takim silny, takim dumny,
Siostro moja! mnie się zdaje,
Że w tej chwili ze snu trumny
Nasza Święta gdzieś już wstaje!

---

[1]) Beatricze to — Delfina Potocka.

Ta Święta wstająca z martwych — to Polska. Polska musi zmartwychwstać. Odbywa ona tylko próbę grobu, ciało jej tylko umarło, ale duch żyje. Polska upadła z woli Bożej, ażeby zbawić świat, ludzkość całą. Jak niegdyś trzeba było śmierci Chrystusa, by zbawić jednostki ludzkie, tak teraz konieczna była śmierć narodu dla zbawienia narodów. To przeznaczenie Polski...

Przed oczyma ducha poety otwierają się groby, a z nich wstają nasi hetmani i rycerze i królowie.

Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość,
Lwi się szlachty stara śmiałość
I niewoli wzgarda bucha!

Ujrzał ich poeta i wzruszony do głębi załkał serdecznie. A potem padł u ich nóg i na ich stopach położył swe skronie i dłonie ku nim wyciągnął. I o los Polski się pytał, dlaczego dopuścili do upadku ojczyzny, dlaczego?

Za co życie w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?
Co ich wichrem takim gnało
Po dziejowej czasu fali,
Że tak dbając o nas mało
Krew nam i w tej krwi — śmierć dali!

I oto o śmiertelne uszy poety uderzył straszny łoskot, idący od rdzawych zbrój...

Ledwom spytał, ich zbroice
Zagrzegocą w głuchy dźwięk,
Z wszystkich piersi wypadł jęk;
Wszystkie zmarłe te źrenice
Z pod tych przełbic — jak gromnice
Płoną ku mnie — razem, górą
Wszystkie wzbiły się prawice
Przesłoniły księżyc chmurą!
. . . . . .

A z grona wielkich zmarłych jeden, co »żadnych pętlic złotych niema, ni turkusów w buzdyganie, jedno pancerz za ubranie«, nieśmiertelny hetman Czarniecki, »jak stał cichy i ponury« —

Nagle czoło wzniósł do góry,
Wyprostował się ogromnie

i szedł jęcząc zwolna ku poecie. Poeta znów przykląkł, a wówczas usłyszał głos grobowy:

Łaska Boża
Nas wegnała w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!
Bo ojczyźnie mojej dała
Z piekieł ziemskich wynijść łona
. . . . . .
Za to Panu wieczna chwała.

Gdyby Polska chciała była żyć tak, jak inne narody, oprzeć swą siłę na armatach i bagnetach, podbijać inne ludy i podbite uciskać, byłaby dziś tem, czem są te inne narody: byłaby kramem, składem broni, tworem bez ducha.

»Gdyby niegdyś ojce twoi
Cudzoziemców świeckich chodem

Weszli byli do podwoi
Tego gmachu, który stoi
W koło Polski, a dziś pada —
Bylibyście dziś, jak oni,
Kramem tylko — nie narodem;
Sklepem śpiącej pełnym broni:
Wyście duchem, co nią włada!
My nie mogli żyć w przeszłości,
Bo my znali się za gości
Innych wieków. — Wiecznie, wszędzie
Przez roztwartych dziejów pole
Los nas pędził w wyższą dolę
Ku tej Polsce, która będzie!
. . . . . .
I z krwi naszej, z naszej winy,
Nim ten jeszcze wiek przeminie,
Wyjdzie Ludów Lud jedyny:
Błogosławcie ojców winie!«

Błogosławieństwem więc dla Polski i innych narodów stało się, że nie była, jak inne państwa, »sklepem pełnym broni«. Wprawdzie upadła dlatego, ale przez upadek, przez gwałt doznany, tem silniej odczuła, zrozumiała prawo Boże, Chrystusowe prawo miłości, które także w stosunkach między państwami i narodami musi zapanować. I odtąd jej powołaniem jest zmartwychwstać i sprowadzić to oczekiwane królestwo Boże na ziemię.

Widzenie znika, ale wnet ogląda poeta wizyę inną: oto rycerstwo polskie, duchy tego rycerstwa spieszą za Panną Najświętszą:

Patrzaj, patrzaj, w dziwnej chwale
Wszyscy z trumien polskich rodem
Idą — idą przez te fale
Chrystusowym do nas chodem!

Tam buńczuki, tam sztandary,
Śnieżne pióra i korony,
Katolicki krzyż wzniesiony:
W koło herby, tarcze, znaki
I tłum szabel i szyszaki
Przeciągają. — Patrz! tam żywa
Twarz z powietrza się wyrywa,
Twarz, czy widzisz, anielicy!
Jak gwiazdeczka na ciemnicy,
W górze, w górze zawieszona
Wschodzi — weszła — tli — drga — płonie.
Ot! z błękitów i szkarłatów
Już otacza ją przesłona!
Na tle z pereł, na tle z kwiatów
Dyamentowa lśni korona...
W krzyż na piersiach zwite dłonie,
Złote gwiazdy na jej łonie;
Czy poznajesz ty, kto ona?
Witaj, witaj — to królowa,
Po swym ludu długo wdowa,
I dziś wraca w tej koronie,
Którą w polskiej Częstochowie
Niegdyś dali jej ojcowie;
I tych ojców przez te tonie
Patrz! prowadzi...

Prowadzi Panna Najświętsza duchy przodków naszych na wschód, by tam po raz drugi stoczyć bój z odwiecznym wrogiem Boga i ludzkich pokoleń...

A potem widzenie nowe: Polska w przyszłości, Polska zmartwychwstała, Polska przewodniczka ludów, zwiastunka królestwa Bożego na ziemi!

Jak blask słońca, tak jej lice!
I z błękitu ma źrenice —

A jej wzrokiem błyskawice!
Nad jej czołem z krwi korona:
Wieniec wspomnień purpurowy;
Lecz już przeszły wszystkie bole
I duch Boży na jej czole —
Naokoło już świat nowy!

Na zerwanych jej kajdanach
Miecz u piersi zawieszony!
Na tym mieczu trzy korony
Po trzech dawnych świata panach!

Za nią duchy narody, oddające jej cześć, jako swej przewodniczce:

A tam za nią — tam wysoko —
Tam daleko — tam głęboko —
Za nią w czasie i przestrzeni
Na tłach z światła — na tłach z cieni,
I z stron wszystkich — w koło, wszędzie —
Jak mgły w ogniu — w tęczach pary,
Zewsząd wstają Boże mary
Tego świata, który będzie!
Lecz już nie tak jasno — białe,
Mniej olbrzymie i wspaniałe,
Ni znaczone krwią przeszłości,
Bohaterską krwią męczeństwa,
Tą boskością człowieczeństwa!
W znak królewski — śród ludzkości.
. . . . . .
Wszystkie, wszystkie duchy — ludy
Na szafirach swych dokoła
Pochyliły przed nią czoła
Jeszcze głębiej niźli wprzódy.
Rozkochane — zachwycone,
Widzę, widzę — już przyklękną:

W niej uznały Boże piękno,
Dadzą jej świata koronę!

Rozlega się z nieba głos Boży: pada wyrok dający Polsce posłannictwo wielkie:

Ziemia tobie powierzona,
Byś ją wiodła czynu torem,
Aż się staną jej plemiona
Jednym ducha arcytworem!

Taką to pieśń przecudną wyśpiewał Krasiński w »Przedświcie«. Tym, którzy wątpili, dodał otuchy, tym, którzy nie wierzyli w tryumf dobrego na świecie, wiarę tę starał się wpoić, a wobec wszystkich stanął jako duch dobry, pocieszyciel, wieszcz..

Rozbiór Polski był potworną zbrodnią, odbudowanie Polski jest koniecznością, jeśli ludzkość niema upaść najzupełniej moralnie, Polska zatem musi odzyskać niepodległość — oto pewniki, z którymi wystąpił poeta. A choć nie wspomniał nic, że w upadku naszym była także nasza wina, choć zapomniał o tem, że aby być Chrystusem narodów, trzebaby być tak świętym, jak był Chrystus, to jednak w tem miał słuszność niewątpliwą, że morderstwa na narodzie nie można popełnić bezkarnie, że zbrodnia naprawiona być musi. Oczywista: wolności nie odzyskamy bez trudu ciężkiego, wolność tę musimy sobie wywalczyć, a ludem wybranym staniemy się dopiero wtedy, gdy rozwiniemy w sobie tyle cnót, ile ich trzeba, by innym przewodzić — ale ufajmy, że Polska będzie i pracujmy z tą myślą, że naszem pra-

wem zmartwychwstanie. Oto jak należy rozumieć przepiękny poemat Krasińskiego.

Ludziom małego ducha, ludziom, co ugrzęźli w codziennym mozole, a zapomnieli o rzeczach najważniejszych, najświętszych, dajmy do czytania »Przedświt«.

Psalmy przyszłości.

W roku 1844. w zimie bawił Krasiński w Warszawie. Twórca »Przedświtu« dostrzegł tam wówczas objawy, które go zaniepokoiły. U jednych widoczne było przygnębienie, u drugich dojrzał rzeczy gorszej, bo zatraty godności narodowej, a nie brakło także złowrogich oznak zepsucia moralnego. Ci, którzy o przyszłości Polski myśleli, którzy odrodzenie jej pragnęli przyspieszyć, schodzili nierzadko na drogę błędną: sądzili, że do niepodległości dojdzie się najłatwiej przez rewolucyę wewnętrzną, przez usunięcie szlachty. Powstawały tajne stowarzyszenia, sprzysiężenia polityczne, a te rzucały hasła niebezpieczne: pozyskać masy przez równy podział dóbr między wszystkich, nie cofać się przed żadnymi środkami, które mogłyby zawieść do celu. Hasła te szły z zagranicy, z głównego ogniska przygotowywanego ruchu, głosiło je pismo »Demokrata polski«. W Brukseli w r. 1844. wydał Filaret Prawdowski (imię zmyślone) obszerne dzieło p. t. »O prawdach żywotnych narodu polskiego«, w którem rozwijając szczegółowy program powsta-

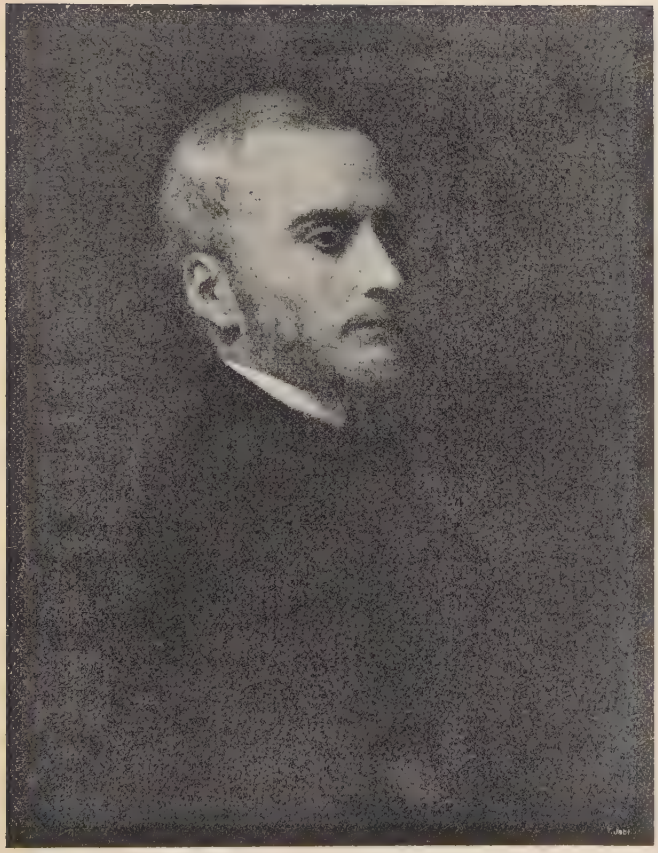

Zygmunt Krasiński
według portretu Ary Scheffera.

nia, zupełnie niedwuznacznie zachęcał do stosowania środków terorystycznych, w razie potrzeby do wycięcia szlachty w pień. Do samego Krasińskiego zgłosił się wysłaniec stowarzyszonych, ażeby pozyskać poetę dla sprawy. Obiecywał poecie to, co było najgorętszem jego pragnieniem: wolność Polski, ale starał się dowieść, że do celu tego dojść można tylko przez zniszczenie tej warstwy, która sprowadziła upadek ojczyzny t. j. szlachty. Krasiński przeraził się. Ogarnął go lęk, że robota takich wysłańców może doprowadzić do rzeczy najstraszniejszej, bo do walki bratobójczej, do rzezi... Postanowił zapobiedz temu, rzucić gorące słowo przestrogi, zaklęcia, choćby groźby... A w miarę jak myślał nad tem słowem zaklęcia, w sercu jego wzbierał gniew na tych, którzy ślepi, przewrotni, chcieli splamić białą szatę Polski i odwlec godzinę jej zbawienia. Czyż Polska, która ma sprowadzić królestwo Boże na ziemię, Polska przewodniczka ludów, może skalać się ohydną zbrodnią?

Przeciw piekłu podnieść kord!
Bić szatanów czarny ród!
Rozciąć szablą krwawy knut
Barbarzyńskich w świecie hord —

to zadanie Polski,

Lecz nie nęcić polski lud,
By niósł szlachcie polskiej mord!

Czyż zastanowili się ci, co te bezbożne hasła rzucają, że przez zbrodnię nie dochodzi się do celu?

Nie jest czynem — rzeź dziecinna!
Nie jest czynem — wyniszczenie!

Jedna prawda boska, czynna,
To przez miłość — przemienienie!
Jeden tylko, jeden cud:
Z szlachtą polską polski lud,
Jak dwa chóry jedno pienie! —
Wszystko inne złudą złud,
Wszystko inne plamą plam —
I ojczyzna tylko tam!
Jeden tylko jeden cud:
Z szlachtą polską polski lud.
Dusza żywa z żywem ciałem
Zespojone świętym szałem;
Z tego ślubu jeden Duch,
Wielki naród polski sam,
Jedna wola, jeden ruch,
O! zbawienie tylko — tam!

Tylko tam zbawienie! Do rzeczy świętych, do celów wielkich nie idzie się w spółce z czartem...

Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalić czarta moc,
Ten świat w gorszą spycha noc,
Ten mądrości wiecznej bluźni.
Choćby nie był Moskal rodem,
Ten Moskalem stał się z ducha,
Ten mongolskich natchnień słucha —
Moskwa — piekło mu narodem.

Szata Polski zaś nieskalana dotychczas, świetlana i przenajczystsza. Kto odważy się ją splamić? Zresztą słaby tylko rzeź wybiera, a żaden kat świata nie zbawił.

Szlachtę wycinać? Dlaczego? Któż wiódł zawsze zastępy na wroga, kto pozbywał się własnych przywilejów na rzecz warstw innych dla dobra

ojczyzny? Ma jednak szlachta wiele grzechów na sumieniu... Zapewne. Któż jest bez winy?

Lecz się grzechy mazać winny,
Gdy z grzesznika człowiek inny,

a innymi stali się potomkowie szlachty po rozbiorach. Wyzbyli się wad przodków, zapomnieli prywaty, dla ojczyzny nieśli życie, krew.

Ich za Polskę — ścigał świat!
Ich za Polskę — męczył kat —
Nie od wczoraj — od lat wiela
Pierś im palił skwarny brzeg —
Lub kryl oczy wygnań śnieg
I więziła cytadela! —
Na alpejskich skał wyżynie,
Po śródziemnych fal błękicie,
Na italskim Apeninie,
Na hiszpańskich Sierrów szczycie,
Na germańskich niw równinie,
Po moskiewskich wszystkich lodach,
Na francuskiem każdem polu,
Po wszechziemiach — po wszechwodach
Sieli przyszłej Polski siew!

Czem byłaby dziś Polska bez szlachty? martwem ciałem bez ducha — bo ducha narodowego nie kto inny, tylko szlachta przechowała, ocaliła.

Polskę splamić, zniszczyć, a przynajmniej jak najbardziej oddalić od niej chwilę zmartwychwstania — to zadanie złych, nędznych duchów. Już się gromadzą u krzyża Polski:

U stóp świętej twej Golgoty
Wszystkie złości zgromadzone!
Wszystkie fałsze i ciemnoty —

Wszystkie czarne wieku duchy:
Ci z nożami — ci z łańcuchy,
A chcą wszystkie mąk koronę
Zwiać ci z czoła w piekieł stronę.

Idą te ohydne mary ku Polsce rozpiętej na krzyżu, idą ją kusić.

Jakież straszne ich postaci
Tych kuszących bezbożników!
Tysiącami wściekłych ryków
Proszą ciebie o mord braci!
Inni każą — w imię cara
Wierzyć tobie, żeś ty mara!
Kościotrupie u nich lice —
Boże! Boże! to upiory
Z cmentarzowej wyszłe nory —
W oczach żądła — nie źrenice,
Pod żebrami serca niema —
W miejscu serca wąż się zżyma
I wyłażą z piersi gady:
Wszystkie hańby, wszystkie zdrady;
Obrzydliwym gnąc się ruchem,
Każda wije się łańcuchem,
Z drugą wiąże się w przestrzeni!
Już się coraz bardziej zbliża
Tłum plugawy ten do ciebie!
Łańcuchami żmij złączeni
Do twojego idą krzyża,
Co na wzgórzu, w czystem niebie.
Już stanęli — wznoszą głowę —
Plwają śliny swe nieczyste
Na twe ciało promieniste,
Zarzucają z wężów wieńce
Na przebite twoje ręce,
Na twe stopy marmurowe!
Oni ciebie by rozdarli
Ciebie przyszłą...

O Polsko...
W męczeńskiej twej sile
Pokonaj te chwile,
Ten zwycięż ból!
A wstaniesz na nowo,
A wstaniesz królową
Słowiańskich pól!

Więc jeszcze raz zaklina poeta:

Hajdamackie rzućcie noże
I oszczerstwa i bluźnierstwa!
By carycy w grobie kości
Nie skleiły się z radości,
Trup nie parsknął w śmiech szyderstwa!
Hajdamackie rzućcie noże,
By nie klęły na was wieki
. . . . . .
Hajdamackie rzućcie noże!
Bo gdy miną fale godzin,
Co nas dzielą od odrodzin,
Będzie Polska zmartwychwstała
Wszystkich zbójców przeklinała!

A niema straszniejszych zbójców nad tych, co przez bratobójczy mord odbierają narodowi swemu cześć. Zaborcy nawet mniejszymi są zbrodniarzami, bo odbierają tylko ziemię i wolność, ale nie mogą zabrać czci.

Kosy na inny trzeba zachować czas!

Hajdamackie rzućcie noże!
A gdy zagrzmi — o żniw porze,
Wtedy naprzód — w imię Boże!
Bierzcie szable — sierpy — kosy —
Dać żniwiarzom wszystkim grunt,
Rozpłomienić święty bunt;
Lecić będą, lecić kłosy,

Ziemię zbroczy gęsty wróg,
Twierdz i więzień prysną mury — — —
A patrzący wiecznie z góry
Nie odwróci twarzy Bóg!

Potężną tę pieśń zatytułował Krasiński »Psalmem miłości« i wydał w r. 1845., wraz z dwoma innymi, napisanymi później psalmami: »Psalmem wiary« i »Psalmem nadziei« pod wspólnym tytułem »Psalmy przyszłości«.

Te dwa psalmy później napisane są jakby przygotowaniem, jakby wstępem do »Psalmu miłości«. Poeta chciał w nich powiedzieć, wytłumaczyć, przekonać, dlaczego p o d ż a d n y m w a r u n k i e m n i e w o l n o uzbroić się w hajdamacki nóż, chciał przypomnieć prawo Boże, przypomnieć cel wielki, do którego Polska z wyroku Boskiego dąży, przypomnieć przepowiednie z Przedświtu. Więc w »Psalmie wiary« wykłada poeta o przeznaczeniu człowieka i całego rodu ludzkiego. Przeznaczenie dane od Boga ma także każdy naród i każdy ma obowiązek działać zgodnie z tem przeznaczeniem — w ten sposób dojdzie ludzkość do doskonałości, sprowadzi na ziemię Boże królestwo. Ale są między narodami narody wybrane:

A są wybrane jedne przed innemi,
By o Twą piękność walczyły na ziemi
I krzyż lat wielu wlokąc krwawym śladem,
Były śród świata — anielskim przykładem!
Aż nie wywalczą straszną walką w grobie
Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
Więcej miłości i więcej braterstwa
W zamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!
Takim jest naród Twój polski, o Boże!

Czyż żywa, serdeczna część narodu wybranego może się uzbroić w hajdamacki nóż?

A w »Psalmie nadziei« przepowiada poeta, że zbliża się już ta oczekiwana, błogosławiona chwila, epoka królestwa Bożego, epoka czynu, Ducha świętego, a pierwszy ujrzy Ducha świętego ten naród, który dla zbawienia ludzkości poniósł niewinną śmierć, który przez wieki całe w obronie Chrześcijaństwa walczył z poganami...

Oto idzie już godzina.
Poznan będzie — niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty: —

A nie trony ni korony
Pierwsze ujrzą Cię na niebie,
Lecz niewinnie umęczony,
Ten, o Duchu! ujrzy Ciebie!

Kto lat tysiąc wieku strawił,
Kościół broniąc od poddaństwa!
Milionową pierś wciąż krwawił,
Aż rozdeptał gad pogaństwa! —

Kto śród ludów nie miał brata;
Ten, na czyim już pogrzebie
Były wszystkie króle świata,
Ten o pierwszy ujrzy Ciebie!

Bo choć krwawy, choć zemdlony,
Wzrok utopion trzyma w niebie!
A kto patrzy w ducha strony,
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie!

Bo nie skonał naród!

Polsko! Polsko! grób twój tylko
Był kołyską nowej zorzy!
Śród wieczności jedną chwilką,
W której począł się dzień boży!
. . . . . .

Niech was darmo nie przestrasza,
Że dziś podłość górą wszędzie!
Z wiary waszej — wola wasza,
Z woli waszej — czyn wasz będzie!

Nie powróci stara klęska —
Duchom — duchom tryumf dan!
Oto idzie moc zwycięska,
Panujący idzie Pan!

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal —
Czas uderzyć w strunę drugą:
W czynów stal!

Tak, bo zbliża się epoka Ducha świętego, epoka uduchowionych czynów! Czyż żywa, serdeczna część narodu, który w tej epoce ma piastować królewską rolę przewodnią, może się uzbroić w hajdamacki nóż?

Jako nieodparta konieczność, jako wniosek niewątpliwy wypływa z tych wywodów wszystko to, co poeta wypowiedział — w »Psalmie miłości«. Jeśli Polski przyszłej pogrzebać nie chcecie, m u s i c i e rzucić hajdamackie noże...

Na »Psalmy przyszłości« odpowiedział Juliusz Słowacki wierszem p. t. »Do autora trzech psalmów«. Zarzucał Krasińskiemu nieuzasadnioną obawę — o rzezi nikomu się nie śni — zarzucał fałszywy pogląd na znaczenie szlachty dla narodu polskiego — kto może dziś szczycić się mianem szlachty? — zarzucał wreszcie brak zrozumienia tego, co w dziejach jest dobrem i złem. Czasem rewolucya jest koniecznością, duch »wieczny rewolucyonista« wiedzie ludzkość ku postępowi.

Niestety rok czterdziesty szósty wykazał, że obawy Krasińskiego nie były nieusprawiedliwione. Wprawdzie wiemy, że do ohydnej rzezi nie byłoby doszło, gdyby »inni szatani« nie »byli tam czynni«, że ciemny lud stał się tylko narzędziem zbrodni — niemniej jednak nie trudno przypuścić, iż agitacya wysłańców tajnych stowarzyszeń musiała także do pewnego stopnia przygotować grunt, tak że lud łatwiej dał się obałamucić i porwać do strasznego czynu.

Na Krasińskiego – choć się lękał, choć przestrzegał i zaklinał — wieść o rzezi spadła jak grom, złamała go, zgnębiła. Zapadł na zdrowiu tak, że lękano się o jego życie, nerwy jego rozprzęgły się, poczęły przychodzić jeden po drugim ataki sercowe. Może to były najsroższe męczarnie, przez jakie poeta w życiu przeszedł, sroższe może niż w r. 1831. Gdy zdolnym był już do ujęcia pióra, odpowiedział Juliuszowi Słowackiemu na jego wiersz:

Więc strach, mówisz, mówił ze mnie,
Gdym przeczuwał, że się w ciemnie
Zasuwamy, a nie w zorzę —
I że lud się zhańbić może?!
. . . . . .
Tak się lękam i truchleję,
Kiedy w Polski spaść ma dzieje
Mord i srom!
Lepszy grom!
Zmartwychwstaje się z pod gromu —
Nie zmartwychwstaje z pod sromu!

Poeta wyraża gorący żal i ból, że jego przewidywania się spełniły — czemuż słuszności nie miał Juliusz! Z radością poniósłby był nawet śmierć za to, że potwarz rzucił na lud, byleby »plam nie było na ojczystej niwie«. Niestety krwawej plamy nie da się już dziś zetrzeć. Duch »wieczny rewolucyonista« buntuje się nierzadko przeciw Duchowi Bożemu, a taką rewolucyę Bóg potępi! Poeta jednak nie traci nadziei, owszem wierzy głęboko, że mimo chwilowego obłędu Polska pójdzie torem, wytkniętym jej przez Boga, i dokona wielkiego swego posłannictwa.

Ale życie, wypadki rozwiewały coraz więcej złud. Nie było znaków, któreby zwiastowały zbliżanie się »Królestwa Bożego«, natomiast nie brakło dalszych objawów nienawiści społecznych, walk wewnętrznych, oznak rozkładu. I wtedy to zabłysła przed wieszczemi oczyma poety nowa prawda, prawda ostateczna: bez nas samych Bóg nas nie zbawi. Trzeba było powiedzieć to społeczeństwu. Trzeba mu było wykazać, że marzenie i słowo

to bańki mydlane, a podwaliną przyszłości c z y n, d o s k o n a l e n i e s i ę m o r a l n e. Bez »dobrej woli« naszej Bóg nietylko nie odda nam roli przewodniczej wśród narodów, ale nawet wolności nam nie powróci. Trzeba dobrej woli.

Dał nam Bóg wiele. Dał panowanie tysiącletnie, wolne od zmazy, nie zhańbione rozbojami:

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!
Tysiącoletnie dałeś panowanie
Ubrane w śnieżne, przedchrześciańskie blaski
Nadeuropejskiej cnoty!...
Z Polski — Ojczyzna w przeszłości jedyna,
Co z piersi miłość, a nie rozbój sieje,
. . . . . .
Gardzi grabieżą, nie garnie zdobyczy —
Spaja się z braćmi, a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
D a j n a m, o P a n i e, ś w i ę t y m i c z y n a m i
Ś r ó d s ą d u t e g o s a m y c h w s k r z e s i ć s i e b i e!

Dał nam Bóg wiele, bo i krzyża nie poskąpił, krzyża, który niebiosa ku nam nachyla. Dał posłannictwo wielkie, ale musiał zostawić wolną wolę, wolę spełnienia tego posłannictwa.

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża —
I krzyż — lecz taki, co do gwiazd Twych zbliża —
Najwyższe dałeś w czasie powołanie!
. . . . . .
Ziemiś nam ujął — a spuścił niebiosy
I serce Twoje nas zewsząd przykrywa —

Lecz wolną wolę musiałeś zostawić —
Ty bez nas samych nic możesz nas zbawić!
Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród każdy, że Twój zamysł czeka
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
Człowiek lub naród jego pójdzie torem!
Z wolnością tylko duch Twój wciąż się swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

Dał nam Bóg wiele, bo i przestróg nie poskąpił. Pokazał los Jerozolimy, siedziby również ludu wybranego...

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Przykład nieszczęsnej Twej Jerozolimy,
W której tak długo było Twe kochanie,
Aż się rozwiała w perzyny i dymy,
Rozdarta w sobie, a zemstą do końca
Przeciw ludzkości całej szalejąca!
I ona kiedyś być miała królową
Pogańskim katom, świecącą w koronie!
Lecz że wciąż śniła o tych katów zgonie —

za karę wdową się stała i odtąd płacze na Twojego Syna, Panie, że nie toporem walczy, lecz krzyż wziął za godło. Wielka nauka dla nas...

Ale i innych odstraszających przykładów Pan nam nie poskąpił. Pokazał nam ohydne czyny katów naszych...

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
W ciemięzcach naszych sprośne gwałtu wzory,
Szkaradne rzezie i niecne zabory,
Za które dzieciąt przeklina ich łkanie,

a którzy stoją okryci hańbą przed Bogiem. Dobrodziejstw i przestróg dał nam Bóg wiele. A teraz oto zbliża się doba, w której mają się przeważyć nasze losy, więc poeta błaga Boga, by nie opuszczał Polski w tej chwili wyrocznej — ale wnet uprzytamnia sobie, że nasza własna wola musi tu rozstrzygnąć

Zmiłuj się, Panie! broń nas — bądź Ty z nami!
Nie! darmo; teraz tu stać musim sami!
Ach! wiem! — ta chwila już do nas należy;
W ostatniej losów tej naszej przemianie
Żaden Twój cherub nam w pomoc nie zbieży!
Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!

A jednak mimo to, żeśmy sami sobie już tylko pozostawieni, i dlatego właśnie, błagamy Cię Panie, nie opuszczaj nas, nie zapominaj, żeśmy Twe dawne sługi, że Twe nakazy zawsześmy pełnili, daj nam dobrą wolę; razem z Królową Polski zanosimy do Cię modły:

Błagamy Ciebie razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu!
. . . . . .
Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste —
Odnów w nas zmysły — z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę;
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

Daj nam dobrą wolę!

W czem ma się objawić ta dobra wola i kiedy? We wszystkiem i wszędzie. W czynach szlachetnych, w doskonałości moralnej, w dążeniu do doskonałości. Nie wskrześnie naród, który pod względem moralnym nizko stoi. Nie wskrześnie ten, co za broń wziął hajdamacki nóż, ale też nie wskrześnie również obojętny na swe najwyższe dobro. Trzeba uderzyć w czynów stal! A cokolwiek czynimy, czyńmy dla ojczyzny. Więc cokolwiek czynimy, czyńmy jak najlepiej, jak najgodniej. Z drobnych cegiełek powstaje olbrzymi gmach, nasze czyny, nasze życie przyszłą Polskę tworzą. Gdy wszyscy będziemy jak stal, gdy dusze nasze będą nieskazitelnie czyste, gdy będziemy dla Polski ofiarni, gdy mieć będziemy dobrą wolę, tem rychlej Ojczyzna powstanie z martwych. W sobie każdy nosi przyszłą Polskę — wróg nam jej nie zabierze, ale sami możemy ją zgubić. Dobrej woli nam trzeba...

»Psalm Dobrej Woli« jest nietylko jednym z najpiękniejszych utworów Krasińskiego, ale zarazem jednym z najmędrszych — jest ostatniem, najwyższem słowem całej jego twórczości poetyckiej, a równocześnie całej naszej poezyi wieszczej[1]).

---

[1]) »Psalm Żalu« i »Psalm Dobrej Woli« wyszły w Paryżu w r. 1848. Napisany był »Psalm Dobrej Woli« w r. 1846, »Psalm Żalu« w r. 1848.

Dzień dzisiejszy.

Nie chcę Polski, jeśli nie będzie arystokratyczną; nie chcę Polski, jeśli nie będzie demokratyczną; jeżeli Polska nie ma być rzeczą-pospolitą, niech jej raczej nie będzie — tak mówili zacietrzewieni w programach stronniczych wychodźcy polscy w Paryżu po klęsce roku 31go. Tych upomniał surowo Mickiewicz. Ale z wychodźtwa przeniosła się ta walka stronnictw namiętna, nie przebierającą w środkach, do kraju. Każdy chciał zbawić ojczyznę na swój sposób, każdemu zdawało się, że wynalazł niezawodne lekarstwo — w istocie zaś wszyscy razem niezgodą, rozdwojeniem, nienawiścią wzajemną ułatwiali pracę — wrogowi. Te zwaśnione stronnictwa napomnieć, a jeśli się da — pogodzić, pragnął Krasiński, pisząc nowy poemat, p. t. Dzień dzisiejszy. Miał też cel inny. Chodziło mu także o zgromienie tych, którzy pogodzili się z upadkiem Polski i mówili, że była to konieczność, że śmierć jednych narodów potrzebna jest do życia narodom drugim, jak nawóz potrzebny jest roślinom... A chodziło mu też o napiętnowanie

bezmyślnych, tych znów, którzy zajmując się handlem, przemysłem, rolą, zapomnieli, że istnieją jakieś ideały narodowe. Ci zwaśnieni, rozpolitykowani, jedni wołający: tylko arystokracya zbawi Polskę, drudzy: tylko rzeź!, ci zrezygnowani, mówiący: konieczność!, ci handlujący i kupczący bez myśli o celu wyższym, to niestety współczesna Polska, to w Polsce »dzień dzisiejszy«.

. . . . . .

Na łożu śmiertelnem spoczywa poeta konający. Otacza go grono znajomych. Poecie nie żal umierać, bo woli skonać, niż zasiąść do biesiad na braci popiołach i pić zdrowie katów.

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem,
Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?

przemawia do zebranych —

Ja brat wasz, człowiek — ja na was spozieram
Z miłością brata — i cicho umieram;

I prawdę mówię pod skrzydłami śmierci:
Kraj wam trzy sępy rozdarły na ćwierci,
A sprządz go nawet wolą nie umiecie!
Z was niewolniki też dotąd na świecie.

A stan ten smutny trwać może długo. Nie Chrystusowy płomień nas rozgrzewa, lecz gniew i waśń, rozdarci jesteśmy wewnętrznie...

Chorego śmiertelnie poetę ogarnia coraz większe znużenie. Myśli mu się plączą, wizye rozmaite to zjawiają się przed jego oczyma, to znikają. W oczy wieje mu »jakaś śmiertelna mgła« i zdaje

mu się, jakby jego naród »zapadał w otchłanie«. Więc poczyna błagać Boga o »błysk nadziei«:

Podajcie mi ręce,
Ja nie chcę skonać w tej zwątpienia męce.
. . . . . .

Anioła pocieszyciela, Anioła, któremu na imię Beatrycze, czeka poeta. I wydaje się konającemu, że Anioł się zjawił

On stoi — widzę — niech chwilkę poczeka —
Co będzie z Polską? Patrzcie! — do człowieka
Całkiem podobny! Czyż to twarz anioła?
Nie — to mój szatan, który na mnie woła!

Zna poeta to widmo złowrogie:

Znam cię, dusz słabych siwy kusicielu,
Tyś przepsuł wiarę — zatruł miłość wielu;
Wiem — ty przyszedłeś w ostatniej godzinie
Mnie prorokować, że mój naród zginie.

Na to szatan odpowiada poecie:

Ja jestem rozum — ja jestem konieczność!
Nie czas mi bratem, ale siostrą wieczność;
A choć mnie ludzie przezwali szatanem,
Mój duch świat stworzył — i ja ziemi panem;

Ostatni jesteś z wielkiego plemienia,
Ostatni jesteś z bohaterów rodu,
Żyłeś bez domu — umrzesz bez imienia,
Zwiany jest z ziemi ślad twego narodu!

Szkoda — mówi szatan dalej do poety — że bracią twoją jest proch, co gnije w trumnie, że nie umiesz oderwać się od mary, co już nie wskrześnie. Śmierć jest koniecznością; trzeba to tylko pojąć, a wówczas przestanie ona być czemś złowrogiem. Śmierć jest koniecznością i potrzebą. Z śmierci czerpie korzyść życie:

Tem bieży potok, że fale mijają,
Tem ogół stoi, że szczególni płyną,
Tem ludzkość żyje, że narody giną,
I trwa tem wszechświat, że światy konają!

Lud Twój się dostał drugiemu ludowi
Na krew i pokarm. — Ojców twych spuściznę
Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę;
On życie świata tą śmiercią odnowi.

Jemu to, temu narodowi, który pochłonął Polskę, poruczył Bóg dawną misyę Polski. Ale ty — tu zwraca się szatan wprost do poety — odpowiedz,

. . . . . na coś z umarłemi
Zawarł przymierze? Czemuś w blaskach słońca
Żyć nigdy nie chciał?

Poeta milczy, a wówczas zabierają głos obecni:

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Jakkolwiek straszny ten czarny jegomość,
Zda się rozległą ma rzeczy świadomość.

DRUGI.

Mógłby on dużo nam ująć cierpienia
Przez myśl tę nową, co sprawy tor zmienia.

TRZECI.
Kołowrót w głosie — i tamto — i owo —
Lecz czuję wielką odrazę sercową.

Wówczas rozlega się głos umierającego:

Czemu bledniecie — obróćcie się ku mnie —
Bracia, nie patrzcie w posępną twarz jego!
— On duchem wprawdzie — ale duchem złego,
Fałsze więc prawi nadęto i szumnie.
Ach! gdzie mój Anioł — ten siostrzany — biały —
Co miał przyjść po mnie — czemu nie przybywa?
Sam głos twój tylko pieśń zgonu mi śpiewa —
Lecz nie drżę, Duchu — boś nędzny — boś mały.

Szatan wie tylko, co przymus, co konieczność, a nie wie, jaką potęgą może być wola.

Żądza serc wielu może pod mogiłę
Zstąpić jak anioł — i anielską siłę
Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród;
Bóg w wolę ludzi rzucił cudów zaród!

byle ta wola nigdy »w pychę się nie spodliła«.

Pychą upadli strąceni aniołowie i dziś już nie mają nadziei. Ale przed nami nadzieja świta. My pysznymi nie będziemy, my wiemy, że przed Bogiem pokornymi nam być trzeba, a walczyć — z szatanem.

Wieczna pokora w łzach i krwi — przed Bogiem,
Bunt nieśmiertelny w łzach i krwi — przed wro-
[giem,
To los nasz — zakon — to nasze sumienie —
Przeszłości chwała — przyszłości zbawienie!

A ty szatanie — woła konający — idź innych zwodzić! I zaprawdę wielu zwieść jeszcze możesz, ale

Za to, że wiarą twą — był topór kata,
Że twą pięknością — co podłe a harde —
Skazany jesteś na plwociny świata,
Skazany jesteś na wieków pogardę.

Siła słów konającego wywiera skutek — zły duch czuje się pokonanym

Patrzcie! — on znika — bracia! już go niema!
W sercach się waszych tylko strachu zima —
Na licu waszem tylko zwątpień znamię
Po nim zostało; — ożyjcie — on kłamie!
. . . . . .
. . . . . .

Chory umikł. Zebrani u jego łoża znajomi pewni są, że już umarł. Rozpoczyna się rozmowa, bardzo znamienna rozmowa:

CHÓR PRZYJACIÓŁ.

Umilkł — już skonał — na grobie mu wieniec
Z cierniów złożymy i napis pod spodem:
»Choć żył na ziemi — nie był z ziemi rodem;
»Los jego — rozpacz, a imię — szaleniec«.

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Co też za życie tego człeka było!
Ciągle mu tylko w mózgu się roiło!
O nieskończonych błękitu obszarach,
A tu na ziemi o kochanek marach —
I o ojczyźnie!

DRUGI.

To był patryota.

TRZECI.

Niema co mówić — lecz to stara cnota.

CZWARTY.

Cenię go mocno, ale ganię za to,
Że nigdy nie był dość arystokratą,
Bo tylko silny pierwiastek takowy
Może kraj podnieść w byt lepszy i nowy.

PIĄTY.

Cenię go mocno, lecz nie cierpię za to,
Że nigdy nie był dosyć demokratą,
Bo tylko ostry ten pierwiastek zdoła
Ze zgniłych wyrwać nas przesądów koła. —
Tuszę, że Polskę niechybnie uzdrowi:
Każdemu rzezią grozić szlachcicowi,
A potem — później — jeśli będzie trzeba —
To i dać paszport ichmościom do nieba!
Krwi sobie utocz — gdy stoisz nad grobem,
W łeb sobie wypal — kiedyś mocno chory,
Takim się Francuz wciąż leczy sposobem,
A zdrów i silny — z niego więc brać wzory!
Żadnych półśrodków — precz z nimi do kata,
Wolność i równość *et caetera* świata;
Wreszcie kommunizm — co bądź — wszystko jedno —
Bylem ojczyznę uratował biedną!
Wszak tak panowie?

SZÓSTY.

Mylicie się srogo —
Będzie nam tylko z panslawizmem błogo!
I oszukamy tak gracko Moskali,
Że ujrzą w końcu, iż my się dostali
Do steru rządów. — Wtedy krzyknąć: Brawo!
Oni nam będą — a nie my im strawą!
Tak sztuki stanu radzi polityka!
Żal mi niezmierny tego nieboszczyka,

Że się z tą prawdą minął oczywistą —
On był powinien umrzeć panslawistą!

SIÓDMY.

On był powinien umrzeć komunistą!
Pozwólcie chwilkę — nad tym trupem — szczerze
Powiem wam, bracia, w co ufam, w co wierzę.
By zrzucić ucisk, nie łez nam i pisku,
Ale gorszego trza jeszcze ucisku!
Despotyzm zbijesz tylko despotyzmem!
. . . . . .
Nie dość krwi tylko chcieć, jak demokracya;
A któż krew przyjmie za co gdzie w zapłacie?
Wprzód niż krew — pieniądz wojnę rozpoczyna,
W skarbie drga zwycięstw ukryta sprężyna —
A skarb oparty na dóbr konfiskacie!
Rząd gdy jedynym właścicielem będzie,
Zaraz się zjawi moc i pogrom wszędzie...

Ale znalazł się wśród grona »przyjaciół« konającego poety przecież jeden, który zrozumiał, że właśnie to, za co ganili zebrani umierającego, było jego najwyższą cnotą: że w walce o przyszłość ojczyzny uznawał tylko szlachetne środki, że nie był zaślepieńcem, że nie chciał Polski zbawić ani przez gwałt, ani przez ucisk, że nie pracował dla jakiejś jednej warstwy, jednej klasy, lecz dla całego narodu, że był przedewszystkiem Polakiem. I ten jeden zgromił zebranych:

Środków działania i w myśli i w ciele
Masz do odkrycia nieskończenie wiele,
Lecz jeden tylko w sumieniu tkwi: cnota!
Inaczejś bracie — nie człowiek — lecz zwierzę!
Oto panowie, w co ufam i wierzę.
. . . . . .

A nieboszczyka owszem chwalę za to,
Że komunistą[1]), ni arystokratą,
Ni panslawistą, ani demokratą,
Ni jakiemkolwiekbądź innem przezwiskiem,
Co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem,
Nie zwał się nigdy. Jeśli jakim znakiem
Znaczyć go chcecie — zwijcież go Polakiem,
Bo kochał Polskę onę wiekuistą,
Ziemsko — potężną — i anielsko czystą
. . . . . .
. . . . . Serce jemu wrzało
Goręcej w piersiach, niż u innych ludzi!...

Ale ta przemowa jedynego wśród obecnych człowieka rozumnego i dobrego Polaka nie trafia oczywiście do przekonania zebranych. Więc odzywa się jeden z »przyjaciół«:

Kogoż już teraz taki zapał złudzi?
Praktyki trzeba — sercem żyć za mało.

A na to inny:

Aha! tak — prawdę mówi obywatel!
Poszło już serce teraz w rząd bagatel;
I lepsza jedna z Londynu młockarnia,
Niż poetyczna wszystkich dusz męczarnia.

Po czem wszyscy wołają zgodnie:

Nie traćmy czasu, bo życie praktyczne,
Którem żyjemy, liczy w sobie liczne
Zajęcia. — Zatem gdy już dni na niebie,
Bądź zdrów umarły — pożegnamy ciebie!

[1]) Jak z poprzednich uwag łatwo już było wywnioskować, komunista to ten, kto pragnie wspólności mienia.

Najniespodzianiej rozlega się wówczas cichy głos umierającego:

Dzięki wam ludzie! — jam nie skonał jeszcze!

CHÓR.

Jak! Co? Ty żyjesz?

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Ja z śmiercią się pieszczę!
Ból zwątpień przeszedł — noc ducha ustała —
Coraz mi płynniej cięży ciężar ciała,
A już nie marzę, nie walczę, nie mdleję —
Cały w błękitną zmieniam się nadzieję!
Słodko umieram — słyszę głos anioła —
Głos wiosen moich — głos tak dawniej znany —
Wiecznie pamiętan i wiecznie kochany,
Tu, przy mnie, wszędzie, nademną, dokoła!

CHÓR.

Nic my, na honor, nie słyszymy zgoła,
Cieszy nas tylko, że cię myśl wesoła
Cieszy w tej chwili — winszujemy tobie!
Może się kryzys w twej zjawi chorobie. —

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

O ty nademną tak się kołysząca,
O ty, coś piękna pięknością bez końca,
Bo wiesz już Pana niebieskie wszechcele —
I na twem licu tej wiedzy wesele —
O siostro! błagam cię — słuchaj — niech oni
Ujrzą cię także — niech światło z twych skroni
W pierś im przypłynie — niech głos twój usłyszą!
Nastrój ich myśli ducha twego strojem,
By wrzask ich niezgód stał się odtąd — ciszą
I walczyć mogli zwycięskim już bojem!
A co — widzicie?

CHÓR PRZYTOMNYCH.

Jakież ciebie licho
Znów opętało? Leż spokojnie — cicho.

Rzecz prosta. Zebrani, dusze poziome, nie widzą anioła, który już zjawił się konającemu, nie widzą Beatrycze. Ale poeta świetlaną postać dogasającemi oczyma ogląda i szczęśliwym się czuje, a do szczęścia zupełnego brak mu tylko jednego: by zebrani koło jego łoża uwierzyli w to, w co on wierzy, ukochali to, co on kocha. Więc błaga Beatrycze, by objawiła się wszystkim zgromadzonym około łoża poety, by dała świadectwo jego słowom! I gdy tak poeta słał do Anioła modły błagalne, zebrani usłyszeli jakby pienia niebiańskich jakichś strun. Więc w zdziwieniu pytali:

Co to za muzyka?
Strun niewidzialnych szum dźwięczy w przestworze
I dźwięk nam każdy wskróś duszę przenika...

A wonczas z góry rozległ się głos:

Wszechświęty Ojcze, Synu, Duchu — Boże!
. . . . . wysłuchaj mnie, Panie!
Niech serca jego spełni się żądanie.

Wśród zebranych powstało poruszenie:

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

uż nie dźwięk tylko — wyraźnie brzmią słowa.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czemu się jeden za drugim tak chowa?

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Słowo honoru! gdybym wierzył w Boga,
Toby mnie zdjęła w tym momencie trwoga!...
Daruj mi Boże! padam na kolana!

INNY.

Jakby w płomieniach cała stoi ściana!
O Jezu! biję się w piersi żałośnie;
Zgrzeszyłem, Jezu! — Jakżeż blask ten rośnie!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

A co, widzicie?

CHÓR.

Oszalejem wszyscy!
Czy my zbawienia, czy też zgonu blizcy?
Widzim, ach, widzim bielejące szaty
I skrzydła widzim — i na głowie kwiaty —
Tyś prawdę mówił — twoja, ach! wygrana!

GŁOS W GÓRZE.

I będzie Polska — będzie w imię Pana!

CHÓR.

Umieramy po kolei!
Serca nasze, jak tłum liści
Gdzieś niesionych śród zawiei,
Opadają w dół zawiści;
Rwie nas w górę wir nadziei —
Umieramy po kolei.

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

CHÓR.

Wszystko w okół — gdyby rajem —
Wszystko wewnątrz — gdyby siłą —
Tak nam dobrze — tak nam miło,
Święty Boże! zmartwychwstajem!

Pierś do piersi — do rąk ręce —
Zesplatajmy się jak wieńce
I rozwieńczmy się nad krajem!
Coraz jaśniej przed oczyma —
Jednym duchem już się stajem —
Tam, gdzie miłość — śmierci niema —
Ach! kochajmy się my wzajem!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

Skrucha i żal odzywa się w zebranych. O przebaczenie błagają za to, że źle Polskę kochali, arystokrata, bo nie szedł w ślady wielkich swych przodków i nie poświęcał się dla ojczyzny, demokrata, bo myślał o wycięciu szlachty, głowy narodu, inny, bo z Moskalami chciał się bratać, inny, bo głosił hasło »kto posiada, temu biada«.

Skruszonym, żałującym Bóg przebacza.

Ale jeszcze i inni są wśród zebranych. Na tych umierający zwraca uwagę Anioła-Beatryczy:

A tych kilku — patrzaj siostro —
Przemów do nich — przemów ostro —
Nie zgrzeszyli smutku szałem —
Ale hańbą — ale kałem;
Gdy nad matki krwawem ciałem
Kirgizowa jazda tętni,
Oni byli — obojętni!

GŁOS KILKU.

O my bardzo biedni — marni —
O my nędzni — ślamazarni —
My bez zbrodni i bez cnoty!
Nam się śniło w śnie ślepoty,

Że car blizki — Bóg daleki —
I że naród śpi na wieki.
Więc już tylko — śród niewoli —
Do przemysłu — handlu — roli —
Do dróg bitych — do farbiarni;
By utuczyć, co zostało:
To bez ducha — nasze ciało!
O my biedni, ślamazarni!

I tym Bóg miłosierny przebacza. A wówczas wszyscy jednogłośnie wołają szczęśliwi, radośni, odrodzeni:

Odrodzeni — świeży — nowi,
Czy męczeństwem, czy żelazem
Wszyscy walczyć my gotowi
. . . . . .
Już nam widno — już nam widno:
Tak do Polski, jak do Pana
Iść się musi drogą jedną:
Tą, co nigdy nieskalana!

Bóg wysłuchał modłów konającego — przedstawiciele różnych wrogich sobie stronnictw pogodzili się i zjednoczyli w miłości ku ojczyźnie, obojętni pokochali Polskę, zaprzańcy nawrócili się.

Czy naprawdę dożył poeta chwili tak radosnej, czy naprawdę Polska stała się wszystkim Polakom droższą, niż hasła stronnicze, czyśmy naprawdę zrozumieli już, że w jedności siła, że wiary w przyszłość Polski tracić nie wolno, że nie wolno w uczciwej pracy dla Polski ustawać. Niestety nie doszliśmy jeszcze do tego, ale poeta uczy, że tak być powinno, że dla jednej tylko klasy społeczeństwa

pracować, a drugą nienawidzieć — to grzech ciężki, że kastowość jest zbrodnią wobec Polski, że ojczyznę wskrzesimy dopiero wonczas, gdy każdy będzie kochał cały naród i dla całego narodu pracował. Wtedy »będzie Polska w imię Pana«.

Schyłek życia poety. — Ostatnie utwory. — Znaczenie Krasińskiego.

Zawsze wątłego zdrowia, nie spodziewał się poeta nigdy długiego życia — owszem żył ciągle z przeczuciem śmierci. O tem przeczuciu mówią jego listy, mówi »Dzień dzisiejszy«, mówi też inny poemat, wydany w tymże samym roku (1847) p. t. »Ostatni« [1]).

Przedstawia poemat więźnia, którego wróg trzyma od lat dwudziestu w podziemiach twierdzy sybirskiej. Więzień był ongiś poetą i kochał gorąco ojczyznę — dziś wszystko dla niego zagasło.

I samem został — bez natchnień bez ducha —
Skuty na zawsze do tego łańcucha,
Który to wrosłe w kość moją kajdany
Spaja z tym hakiem wkutym do tej ściany!

Ostrzegali go ongiś starce, że szaleństwem jest miłość pieśni i ojczyzny:

---

[1]) Takim »ostatnim« był więzień Łukasiński.

Pójdziesz ty z harfą twą brzmiącą, młodzieńcze,
W głuche przepaści, pod rygle ze stali,
Pieśń twa tam umrze i ty z nią, szaleńcze!
Ludziom nic dzisiaj po dumkach wolności!
Darmo się zżymasz — im tylko potrzeba
Nienaruszonej handlu spokojności.
U nas mordują takich jak ty gości!
Zginie, kto światu nosi wieści z nieba!

Młodzieniec nie słuchał — a dziś jęczy w podziemiach twierdzy, w więzieniu, w którem zamykano morderców, ojcobójców.

Tak ja w najniższem twierdzy tej więzieniu,
Gdzie wszelkie życie zmiera w znicestwieniu!
Lecz tam nademną piętrzą się sklepienia
W inne świetlejsze, wolniejsze więzienia —
I w nich szczęśliwsi mieszkają zbrodniarze,
Których łaskawiej rząd cesarski karze,
Boć matkę tylko — lub ojca — lub brata
Zamordowali — więc leksza ich krata!
Wolno im z okien patrzeć w bezmiar świata!
Wolno na wiosnę pić wichry krzepiące,
Gdy na te śniegi powraca tu słońce!
Im wszystko wolno — lecz mnie — co innego!
Jam od nich gorszy, na Chrystusa rany!
Jam człowiek — Polak — jam duch zbuntowany!
Więc ze mnie szatan w tem państwie dobrego!

Porwano go i powieziono — kibitką — w nocy... Nie pożegnał się nawet z ojcem, ni z matką...

Myślim ostatniej nie zwierzył nikomu!
Ja z kochanymi się nie pożegnałem!
Nocą — bez śladu — cicho — pokryjomu —
Kibitek wściekłym uwieźli mnie cwałem!

I polskie tylko pamiętają gwiazdy
Te pierwsze, tajne, me pośmiertne jazdy!

* * *

U władz bezecnych stawili mnie sądu!
Sąd ze mnie szydził — żem mógł i na chwilę
Polak bezsilny zapomnieć o sile
Zgon lub zbawienie dającego rządu!
Więc car wraz z Bogiem na mnie za bezwiarę
Słusznie i święcie zesyłają karę;
I pójdę pieszo — aż za świat — w te lody —
Rzeczypospolitej wnuk ja i swobody —
Pośród złodziejów skajdanionych trzody!

Straszna była wędrówka na północ:

A kat — pamiętam — wiódł konia przed rzeszą —
Ni siadł nań kiedy — wciąż szedł jak my pieszo —
Na siodle tylko leżał knut rzemienny,
I kat powtarzał: »Instrument kazienny«
I głowom ludzkim bić kazał pokłony,
Jakby krzyż z siodła sterczał poświęcony;
Tak mnie to carskiej wszechprzytomni godło
Na wskróś przez państwa bezmiernego strony
Ku północnemu biegunowi wiodło.

* * *

A owi łotrzy, fałszerze, złodzieje,
Wszyscy na lepsze odeszli koleje!
Zdjęto z nich okuć żelaznych pierścienie
I rozlecieli się na posielenie.
Lecz jam się dalej wlókł pustyni błoniem,
A gdy na nogach i rękach kajdany
Coraz mi głębsze wyżerały rany,

Bywa — czasami do kata się modlę:
»Daj mi, człowieku, wytchnąć na twem siodle«.
A Moskal: »umrzej, przeklęty Polaku,
»Umrzej, a nie tknij praw cesarskich znaku!«
Bodaj to umrzeć u wstępu męczeństwa!
Lecz nie umiera się, gdy śmierć zbawieniem.
W dniu szczęścia skonasz — zginiesz w dniu zwycię-
[stwa,
Niezatracalnyś, gdy żyjesz cierpieniem!

Straszne zaś były cierpienia więźnia. Żarła go tęsknota za ziemią polską, za ludźmi

Ach! gdzie rodzinne majowe obszary?
Gdzie zbóż mych łany — gdzie mych łąk moczary?
Gdzie bory sosen szumiące nademną
Jakby modlitwą dziwną i tajemną?
Gdzie są skowronków powietrzne gadulstwa?
Gdzie stary kościół, kędy śpią ojcowie?
Gdzie katolickie litanie pospólstwa?
Gdzie lud, co Maryę Królową swą zowie?

Czasem tracił więzień przytomność, to znów w duszy jego zmartwychwstawały widziadła przeszłości:

Boże! gdzież jestem? — Boże! cóż się stało?
Toć w duszy mojej jest jeszcze zakątek,
Gdzie nie zagasła gromnica pamiątek?
Coś we mnie jeszcze ludzkiego zostało?
Lat już dwadzieścia — nie wiem — ty wiesz, Boże!
Jak martwy padłem na to śmierci łoże!
Wszystko, co było — co jest — i co minie —
W jednej się dla mnie ściemniło godzinie!
Lecz teraz nagle pobladły ciemności
. . . . . .

A czasem znów, trawiony gorączką, oglądał przyszłość przecudną, świetlaną

Ach pomnę, nieraz w noc jesienną, ciemną,
Głos matki zmarłej, czy jakiego dziada
Z grobu się zerwie, wzbije się nademną
I przyszłość myślom moim rozpowiada!
A z jego szmerem przed oczyma memi
Snują się tłumem obrazy, widzenia,
Ciągną zwycięscy wieńcami długiemi,
Słyszę milionów tryumfalne pienia!
Przechodzą białe — świetlane postaci
Sióstr wyjarzmionych — wyjarzmionych braci,
Skra nieśmiertelna na ich twarzach płonie,
Choć są bez skrzydeł, płyną jak skrzydlaci,
Choć są bez koron, błyszczą jak w koronie —
I wśród nich stąpam i czuję sam siebie
W nieznanem jakiemś przedgrobowem niebie!

A może tam już doprawdy Polsce zaświtało słońce swobody...

A kto wie! — może nad Polski mogiłą
Już się proroctwo snów mych dopełniło! —
Mnie tam ach! tylko — mnie, trupa nie było
Śród żywych duchów . . . . . .

Ach nie, to złudzenie! Nie, nie złudzenie! Widzi już, widzi wieszczym duchem! Wielka chwila, oczekiwana... W Polsce wrze. Jasne tłumy zaległy olbrzymie równiny, konnica, polska konnica!... A oto jeden hufiec odrywa się od masy i pędzi na północ, jak pędzi...

O jakież dziarskie te hufce — te konne,
Co się na północ jak skrzydlatą zgrają

Od jasnych onych tłumów odrywają!
To jeźdzce moje litewskie, koronne.
Tłum gdzieś zostaje z tyłu — już go niema —
Bezmiar i oni tylko — przed oczyma!
O jakżeż pędzą! — wciąż jak błyskawice
Sadzą przez wzgórza — mijają padoły,
Na północ pędzą — za wszystkie granice.
Zbawienia mego witajcie anioły!
Od bieli lśnicie i od karmazynu —
Skrzą wam z rąk szable jak pioruny czynu!
I tak lecicie, o wy ptaki boże,
Moskiewskim stepem zwycięsko i dumnie!
Car — ni czart żaden już dziś nie pomoże!
O ptaki moje, wy lecicie ku mnie!

Żaden więzień polski nie zostanie już w rękach moskiewskich oprawców...

Widzę, przed każdem stajecie więzieniem
I zeskakując na chwilę ze siodła,
Straży anielskiem każecie skinieniem,
By was w podziemne te groby powiodła.
Słychać krzyk życia w umarłych mogile;
Mar nazad z wami ach! powraca tyle!
I znów was pędzi duch Bożej wszechmocy
Dalej i dalej . . .

Oswabadzają wszystkich więźniów-męczenników! Ach, już blizko są więzienia, w którem od lat dwudziestu jęczy skazaniec. Prędzej, prędzej...

A żwawo, moi! — a prędzej — a do mnie!
Jezu Ty Chryste! — jakżeż jadą gromnie!
Jakżeż im w barwach narodowych pięknie!
Ratuj mnie Boże! — bo mi serce pęknie!

* * *

Wszak gród moskiewski wy ten już widzicie?
Widzą — ach widzą — skręcili się w biegu!
Lecą piorunem — do rowów tych brzegu,
Wkrótce dopadną na bram tych rozbicie!
Chwili brak jeszcze — jednej chwili mgnienia,
A Polska wejdzie do mego więzienia
Oddać mi dla niej stracone me życie!
O bądź pochwalon, wiekuisty Boże,
Że też się w końcu i złe skończyć może!
O! ja nie będę umierał w rozpaczy!
O bądź pochwalon . . .

Nagle pędzący huf konny zatrzymał się. Jeźdźcy dostrzegli koczowników na pustyni, zbliżają się ku nim. Pytają, kto przebywa w tem więzieniu

Przez powietrza ciszę
Każde tam słowo wymówione słyszę. —
Pytają moi: »Czy męczą się jacy
W tych murach czarnych skazani Polacy,
Za to, że niegdyś im polska ich wiara
Nie dozwoliła uczcić boga-cara?«
A głos śród ludu jakiś odpowiada:
»Tu jęczy tylko sprośny mord i zdrada!
Innych tam więźniów niema, jedno tacy,
Co matkę — ojca zabili lub brata!«
Kłamstwo! ach! kłamstwo — nie wierzcie rodacy!
I znów głos moich ponad śnieg ten wzlata:
»Nie takich szukać my przyszli w te kraje; —
Polska jest świętą — świętym żywot daje!
Lecz matki — ojca lub brata morderca
Niech tu w moskiewskim dognije pogrzebie —
Bóg może zbawić takiego — lecz w niebie —
Polska na ziemi nie skłoni doń serca!«

I zawracają jeźdźcy konie...

Bracia! o bracia! — zaczekajcie chwilę!
Ach! nie ściągajcie tak cugli ze wstrętem,
By gród przekleństwa bocznym minąć skrętem.
O! ja czekałem na was wieków tyle!
. . . . . .
Jam ojca — matki nie zabił, — ni brata!
Jam nie kat żaden — jam wróg był wszechkata!
Patrzcie — ja do was wyciągam ramiona!
Tędy — a do mnie — tu mych lochów strona
Nie mogę pobiedz do was w tej bezsile —
Ten łańcuch trzyma — stójcie jeszcze chwilę!
Oto spróbuję — zwiędłe ręce moje
Sił mych ostatkiem w żelaza te wpoję —
Będę je targał i kruszył potrosze. —
Tylko wy stójcie — na Boga was proszę!
Błagam o chwilę — błagam o pół chwili!
Stójcie! — Ach biada! — już w bok się zwrócili
I spięli konie; czy nie posłyszycie?
Obywatele! — ziomki! — dobrodzieje!
Ja tu — tu jestem pod ziemią — tu skrycie!
Zawróćcie nazad! — Boże co się dzieje?
Mgłą mi już wszystko — wzrok mój już nie może
Tych ścian przebijać...

Daremne wszystkie zaklęcia...

O Boże! O Boże!
Znów tam po śniegu szorują kopyta —
Coraz to ciszej śnieg szumi, lud zgrzyta,
Odgłos tententów głuszeje w oddali —
Nic już nie słychać — już mnie odjechali!
Wszak ja nie marzę? ach! czy to być może?
Oni tu byli — moi właśnie byli
Oni tu byli i mnie zostawili
Śród ojcobójców — o zmartwychwstań porze!

Nadludzkie cierpienia przeżywa nieszczęsny

więzień. Jeszcze iskierka nadziei zatliła w jego sercu i — zgasła

Czy mnie słuch zmylił? — Nie koniż to rżenie?
Może czas jeszcze — a ja skrępowany!
Ha! czy nie wyrwę cię haku ze ściany?
Czy was, ogniwa, nie rozodpierścienię?
Naprzód, wy piersi — naprzód — wy ramiona —
Tak! — ot tak, dobrze — lej się krwi czerwona!
Może czas jeszcze! naprzód! — ach! daremno!
Coraz mi słabiej — w oczach już tak ciemno —
A nikt — nikt w świecie — nikt nie dopomoże!

W sercu nieszczęsnego budzi się rozpacz, chwyta go szał

Ach! czy ja ojca, albo własnej matki
Nie zamordował, gdzie, kiedy, przed laty —
I zapomniałem? — lecz wiedzieli oni!
I zostawili mnie w zatraceń toni.
Nie! — ach! to nie to — co innego jeszcze
Wynajdź, o myśli! — w mózgu gdyby kleszcze,
Gdyby sztylety; — chyba po tych głazach
Tarzać się będę w tych zgrzytnych żelazach —
Sam zgrzytający. — Co się ze mną dzieje?
Wiem — znam — rozumiem — czuję — ja — szaleję!

A w szaleństwie poczyna bluźnić...

Ale na myśl o tem, że Polska wolna, chwyta go nagle inny szał, szał radości, uniesienia niezmiernego. Niech zginie marnie on, niech zginie w zapomnieniu, kiedy ojczyzna jego zrzuciła kajdany...

Przebacz mi Panie, ja Polskę kochałem —
I Ciebie, Panie! nie siebie — nie siebie —
Ona na ziemi żywa — a Tyś w niebie —

A więc umieram, błogosławiąc Tobie
Na zawsze — wszędzie — przed grobem i w grobie.
Z Twojem i Polski umieram imieniem
Na tych mych ustach, co będą kamieniem
Za chwil już kilka . . . . . .
. . . . . .
Coraz mi ciszej — toż i śmierć już może —
I owszem Panie . . .

* * *

Coś się miga, bieli!
W pierś mi się ulga nieskończona leje —
. . . . . .
Harfy! — gdzieś harfy — widzę, ach! anieli!
Harf takich ludzie nigdy nie słyszeli —
O dobrej — dobrej mówią tylko wieści!
Coraz mniej smutku, coraz mniej boleści —
O Polsko! — dusza już moja nie ranna
Gdzieści odpływa — Hosanna! — Hosanna!

Prześliczny poemat, godzien, by każdy Polak umiał go na pamięć. Uczy, jak poświęcać własne cierpienia na ołtarzu dobra ogólnego, uczy, że wobec Ojczyzny jednostka jest prochem, pyłem, niczem...

Poeta stracił wiarę — widać to z poematu — by mógł dożyć chwili, w której Polska pokruszy kajdany, ale nie stracił nadziei, że chwila taka nadejdzie.

Skąd zdobył się na taką siłę w odtworzeniu mąk więźnia bezczynnego, skrępowanego w chwili, gdy ojczyzna jego zmartwychwstaje? Odpowiedź nietrudna. On taką dobę przeżył — w roku trzydziestym pierwszym...

»Ostatni« wyszedł w r. 1847. Rok następny, rok wybuchu rewolucyi europejskiej i — jak myślało wielu — świtu sprawy polskiej zastał Krasińskiego w Rzymie. Ale poeta nie żywił powszechnych nadziei, nie wierzył, by ruch rewolucyjny przyniósł ludom szczęście, a Mickiewicza, który, jak wiadomo, przybył do Rzymu, by wśród gotujących się wypadków odegrać rolę czynną, zaklinał, ażeby zachował się na czas inny, by życia swego nie narażał, bo to jeszcze nie ta chwila wyroczna, która ma rozstrzygnąć o losach narodu polskiego.

Sprawdziły się przewidywania poety. Społeczeństwo polskie przeżyło wówczas chwile gorzkiego zawodu...

I w sercu poety zbierała gorycz. Mówi o tem wiersz »Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje [1]), mówią listy współczesne. Ale były to uczucia chwilowe.

[1]) O wiem, że Polska bój zwycięski toczy,
Że nie zginęła i nigdy nie zginie!
Lecz my czy ujrzym ją w chwały godzinie?
Nim słońce wejdzie — rosa wyżre oczy.
I będzie wielka i będzie wspaniała;
Lecz robak trumien wprzód może nas stoczy,
Niejedna w świecie łkwi rozbicia skała:
Nim słońce wejdzie — rosa wyżre oczy.
Ach! płyną lata, ach! płyną i wieki,
Nim się myśl boża w ciało przeistoczy!
Zguba wciąż blizka, a tryumf daleki:
Nim słońce wejdzie — rosa wyżre oczy.
My tak kochali! a pili truciznę!
My tak żyć chcieli! a żyli w zamroczy!
Inni ach! będą oglądać Ojczyznę:
Nim słońce wejdzie — rosa wyżre oczy.

Zygmunt Krasiński
pod koniec życia.

Poeta zresztą wierzył niezłomnie. Wierzył w zmartwychwstanie Polski, w jej rolę przewodnią w przyszłości, w zejście Królestwa Bożego. Trzeba mieć tylko — nauczał — cierpliwość niezachwianą i wolę nieugiętą, trzeba działać niestrudzenie, choć w kajdanach i w niewoli, trzeba nauczyć się znosić ból, trzeba być świętym w uczuciach, trzeba być gotowym — gdy chwila nadejdzie — do poświęcenia życia. Siły ducha nie przezwycięży żadna moc! (w poemacie p. t. »Resurrecturis«, wyd. 1852) [1]).

Tę siłę niezłomną zachował poeta sam do końca życia, mimo że zdrowie jego stawało się coraz gorsze. Kąpiele u wód zagranicznych pomagały niewiele, zresztą z powodu trudności paszportowych musiał Krasiński spędzać czas przeważnie w kraju, prawie dogorywając. Ożywił go, podniecił wybuch wojny wschodniej — niestety nadzieje okazały się znów zawodnemi. Przygnębiła poetę śmierć Mickiewicza. »Na tę wieść serce mi pękło« — pisał, a choć sam poeta wielki, choć do najwięk-

[1]) W tymże roku 1852. wyszedł poemat p. t. »Sen« pieśń z niedokończonego poematu«. Dalszą część utworu wraz ze »Snem« wydano dopiero w r. 1860. po śmierci poety p. t. »Niedokończony poemat«. Utwór to — choć istotnie niewykończony — bardzo ważny dlatego, bo zawiera wiele wspomnień z życia poety, a jeszcze bardziej z tego powodu, że wyświetla poglądy Krasińskiego religijne, filozoficzne i społeczne. Miał być częścią trylogii, wstępem do »Nieboskiej Komedyi«, jakkolwiek Krasiński pisał go po Nieboskiej. W jednej z części Niedokończonego Poematu występuje Pankracy, jako młody jeszcze człowiek ale już wódz tłumu i już głoszący hasła mordu i rzezi.

szych mógł się z dumą i bez przesady zaliczać, ze skromnością prawdziwą w tymże samym liście Mickiewicza na czele wszystkich postawił: »Największy wieszcz nie tylko narodu, ale wszystkich plemion słowiańskich już nie żyje.«

Z Napoleonem widział się dwukrotnie (1856, 1857), chcąc go pozyskać dla sprawy polskiej — i tu jednak nadzieje go zawiodły.

Coraz puściej i smutniej czyniło się w okół poety i w sercu poety. Wówczas to napisał prześliczny wiersz do żony w dzień jej imienin — poznał, że w niej ma jedynego wiernego przyjaciela, że ona go jedna nie zwiodła

Choć lód serc ludzkich świat pod mrozem trzyma
I wszędzie w świecie bezkwietniana zima,
W duszy mi kwiaty wciąż ku Tobie rosną,
Śród zim boleści, boś Ty moją wiosną,
Boś życia mego Ty ostatniem słońcem:
Wszystko mnie zwiodło przed dni moich końcem.

Wierzyłem w ludzi — a byli bez ducha,
Wierzyłem w ludzkość — patrzę na zgniliznę,
Wierzyłem w przyszłość — a dotąd łańcucha
Sploty nie pękły, co gniotą Ojczyznę.
Ziemia ta cała tak potwornie podła,
Lecz ty mnie jedna na ziemi nie zwiodła.

Kształt Twój nie kłamie patrzącym dokoła,
Gdy ócz Twych światłem, blaskiem Twego czoła
Im wewnętrznego zwiastuje Anioła.
Wszystko, com widział, to był sen, wiew, para,
Tyś rzeczywista, Tyś jedna nie mara,
A jednak w Tobie ideału piękno.

Niech więc kolana me przed Tobą klękną,
Niech ci me ręce podadzą te kwiaty
I niech me usta zbolałe wyjękną,
Szukając kornie brzegu Twojej szaty:
»Tyś piękną«.

A jednak — jak zawsze — mimo tego przygnębienia, mimo że wszystko poetę zwiodło przed dni jego końcem, wierzył tem silniej. Świadectwo tej wiary: dwa przecudne wiersze z tego czasu (1857): »Hymn do Królowej Polski« i drugi rozpoczynający się od słów »Cokolwiek będzie«.

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Czy strach i popłoch zdejmie ziemię wszędzie,
Aż świat od osi zadrży po krawędzie —
. . . . . .
Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jedno wiem tylko: sprawiedliwość będzie,
Jedno wiem tylko: Polska zmartwychwstanie,
Jedno wiem tylko: na dziejów przestrzeni
Grób nasz nam w życia gmach się przepromieni,
Jedno wiem tylko: krzykniemy serdecznie:
Bądź Ty pochwalon, święty Boże, wiecznie!

A oto owa prześliczna modlitwa do Polskiej Królowej:

Królowo polska, Królowo aniołów!
Ty, coś na świecie przebolała tyle,
Gdy Syn Twój zstąpił do ziemskich padołów,
Skróć umęczonej Polsce Twej mąk chwile!
Królowo polska, Królowo aniołów!
Roztocz ponad nią tęczę Twej opieki,
Odwiąż jej ręce od katowskich kołów;
Bądź jej aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Lecz wiesz zarówno, jakim blaskiem płonie
Ukrzyżowany — wniebowzięt po zgonie,
Nie daj nas sieciom piekielnym na połów; —
Nieśmiertelnemi na śmierć zbrojna leki,
Wykaż znów śmierci na nas, że jest niczem,
Wskrześ nas, o Pani, przed świata obliczem,
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Ten świat się rozpadł i rozdziera siebie —
Lecz żadna z jego rozerwanych połów
Już się nie modli, o Maryo, do Ciebie!
My jedni tylko paląc się na stosie,
Wciąż ślemy modły w Twój bezmiar daleki —
Poznasz, Królowo, poddanych po głosie;
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo Polski, Królowo aniołów,
Lilio bez zmazy, ty Gwiazdo poranna,
Mieczem boleści siedmiokrotnie ranna,
Wiesz, co rozpaczy wrzącej w sercu ołów,
Co krzyż i gwoździe i rany i ciernie,
Wiesz, co krwi ziemskiej i łez ziemskich cieki
I jak konania ból boli niezmiernie,
Bądź nam Królową, teraz i na wieki!

W lecie r. 1857. stracił Krasiński najmłodsze ukochane swe dziecko, córeczkę Elżbietę. Cios ten odbił się na zdrowiu poety fatalnie, lękano się katastrofy. Istotnie życie Zygmunta wisiało na włosku. Lekarze radzili jechać z wiosną na południe, do Afryki. Poeta począł myśleć o tej podróży, kiedy doszła go wieść o śmierci ojca. Dogorywający wrócił z pogrzebu do Paryża. 10 lutego

legł na łożu boleści, by już z niego nie powstać. 19 lutego w 47. rocznicę urodzin wyspowiadał się i przyjął sakramenty święte, 23 lutego oddał Panu ducha.

Po całej Polsce zajęczały dzwony żałobne...

Czem był, czem jest dla Polski Krasiński? Jest dobrym jej duchem, jej prorokiem natchnionym, wieszczem. Jego poezya jest i balsamem kojącym i przykazaniem. Koi rany zadane przez jad zwątpienia, a każe twardo stać przy prawdzie, przy dobru, przy wierze w Polskę. Kto nie ufa w zmartwychwstanie, ten niech się nie zwie Polakiem — oto, co z treści jego utworów trzeba przedewszystkiem wyczytać. Ale mieści ta poezya w sobie także wiele rad i nauk wiele i prawd tak wielkich i świętych, że przez całe życie z niemi nam iść trzeba. Więc zasada naczelna: Ufaj imieniowi Mojemu, nie proś o chwałę Twoją, ale o dobro tych, których ci powierzam — bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych...

Każde słowo złotem powinno być wyryte. Nie proś o chwałę Twoją, lecz myśl o dobru Twych braci. Nie pracuj dla swego wyłącznie pożytku, lecz myśl ciągle o ojczyźnie i nie zrażaj się... Choć będą Cię bili dumą, ty nie zachwiej się, choć będą cię gnębili uciskiem, ty trwaj, choć będą się natrząsali z ciebie, ty pracuj...

Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w pier-

siach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia...

Czyż i dziś zdoła kto dać lepszą narodowi swemu wskazówkę, radę?

Czyń ciągle i bez wytchnienia, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej...

Bo bez nas samych Bóg nas nie zbawi. Każdy z nas musi mieć wiarę w przyszłość, wolę silną, posiadać czynu moc i — duszę czystą.

I oto druga tajemnica, dlaczego poezya Krasińskiego jest taka wielka, dlaczego jest dla narodu skarbem. Jest przeczysta. Nie ujrzysz na niej najmniejszej plamki — jest nieskazitelna i święta. Poeta czuje wstręt i oburzenie wobec wszelkiej nikczemności, nieprawości, wobec wszystkiego, co nędzne i liche. A choć patrzy w niebo, podłość widzi i umie ją nazwać po imieniu, ale po to, by przed tem, co nizkie, przestrzedz i znów skierować wzrok w niebiosa. Jest on sumieniem narodowem, on to sumienie wyczulił, uszlachetnił. Czy potrafimy dziś powiedzieć, co mamy od niego?...

Jeden z wielkich duchów Polski porozbiorowej, jeden z największych!

Ludziom małej wiary, ludziom obojętnym na sprawy Ojczyzny, ludziom zepsutym przez stosunki, w których się znaleźli, dajmy czytać poezyę Krasińskiego. Nie wolno kochać jednej tylko warstwy narodu, nie wolno utożsamiać jednej warstwy z narodem, trzeba kochać cały naród i dla przy-

szłości całego narodu pracować. Precz z kastowością! — to także jedno z haseł Krasińskiego.

Nie łatwo dorość do tej poezyi, do wyżyn, które wskazuje, ale dorość trzeba. Trzeba wyrobić w sobie i wiarę wielką i cierpliwość i wolę i siłę i doskonalić się ciągle potrzeba... Modlitwa poety powinna być modlitwą każdego Polaka:

Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste —
Odnów w nas zmysły — z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!

i —

Królowo polska, Królowo aniołów!
Ty coś na świecie przebolała tyle,
Gdy Syn Twój zstąpił do ziemskich padołów,
Skróć umęczonej Polsce Twej mąk chwile!
Królowo Polska, Królowo aniołów,
Roztocz ponad nią tęczę Twej opieki,
Odwiąż jej ręce od katowskich kołów;
Bądź jej aniołem teraz i na wieki.

TREŚĆ.

Str.

Młodość. — Pierwszy cios. — W Szwajcaryi i Włoszech. — Chwile rozpaczy. — Ślub. 4

Petersburg. — Irydion. 25

Nieboska Komedya 43

Miłość i zgryzota. — Chwile zwątpienia i niepokoju. — Przedświt. 58

Psalmy przyszłości. 74

Dzień dzisiejszy. 91

Schyłek życia poety. — Ostatnie utwory. — Znaczenie Krasińskiego. 106

3) BIBLIOTEKA „RACIERZ POLSKI"

obejmuje rocznie kilka tomów, razem około 50 arkuszy druku, z następujących czterech działów

I. Dział praktyczny i gospodarski. — II. Dział historyczny.
III. Dział przyrodniczy i krajoznawczy. — IV. Dział rozrywkowy

można nabywać w drodze przedpłaty, która wynosi całorocznie **dwie korony. Nabywać można także z osobna.**

			kor. h.
Nr	3.	**O lesie i drzewach przypolnych.** Nap. J. Brykczyński	— 20
»	4.	**O pogodzie.** Napisał K. Szulc. Z 32 rycin.	— 50
»	5.	**Oko proroka,** Nap. Wład. Lubicz (wyd. II.)	3 —
»	6.	**Rolnik wzorowy.** Nap. Dr. K. Miczyński (wyd. III)	2 10
»	12.	**Wolne chwile.** Powiastki i gawędy rozmaitych autorów polsk. Wydał Dr. Wojciechowski (wyd. 2.).	— 50
»	13.	**Zdrowie dzieci.** Napisał Dr. Emil Merczyński	— 50
»	15.	**O budowie i pielęgnowaniu ciała ludzkiego podczas zdrowia i choroby.** Nap. Dr. H. Kowalski. Str. 455. (60 ryc.)	1 60
»	16.	**Św. Kazimierz,** napisał Dr. Fr. Papée (wyd. II)	— 30
»	17.	**Nad Niemnem,** powieść Orzeszkowej (wyd. II)	1 —
»	20.	**Jan Kiliński,** przez Dra Nitmana (II wyd.)	— 30
»	21.	**O hodowli drzew i krzewów owocowych.** Nap. J. Froń. (wyd. II)	— 70
»	27.	**Kilka rad praktycznych dla teatrów amatorskich.** Napisał Smotrycki (wyd. II.)	— 30
»	28.	**Rok 1863.** Napisał Dr. Stella Sawicki. (Z liczn. ryc.)	1 —
»	29.	**O życiu i dziełach M. Reja.** Nap. Cz. Pieniążek	— 50
»	30.	**Św. Jacek Odrowąż.** Nap. Marya Sandoz, z 3-ma ryc.	— 30
»	31.	**Co jeść i pić, aby być zdrowym.** Nap. B. Duchowicz	— 30
»	*32.	**Teofil Lenartowicz** Napisał A. Mikulski (z ryc.)	— 60
»	33.	**O gruźlicy.** Napisał Dr. S. Domański	— 60
»	34.	**Wiek pary i elektryczności.** Nap. W. Żłobicki. (Z ryc.)	1 50
		W oprawie	2 20
»	35.	**Stanisław Staszic.** Nap. Dr. M. Reiter (z ryc.)	— 40
»	36.	**Spłacony dług,** opowieść z r. 1831. Nap. W. Szalay, z 8 rysunkami W. Witwickiego	1 20
»	37.	**Księstwo Warszawskie.** Nap. B. Gebert, z ryc.	— 50
»	38.	**Św. Jan z Dukli.** Nap. M. Sandoz. (Z 8 ryc.)	— 40
»	39.	**Choroby zakaźne.** Opisał Dr. S. Domański	1 —
»	40.	**Kazimierz Brodziński.** Nap. J. Ciembroniewicz (z 3 ryc.)	— 40
»	41.	**Zbiór powieści i gawęd.** Ułoż. Dr. Fr. Krczek (z 10 rys.)	1 50
		W oprawie	2 10
»	42.	**Wiersze, piosnki.** Napisał Jantek z Bagaja	1 —
»	43.	**O weselu St. Wyspiańskiego,** napisała Kosmoska	— 20
»	44.	**Powietrze** ze stanowiska chemii i hygieny napisał Br. Duchowicz	— 70
»	45	**Juliusz Słowacki.** Żywot i wybór pism przez Dra K. Wojciechowskiego. Z 10 ryc. w brosz. 1·—. W opr.	1 50
»	46.	**Bitwa pod Raszynem.** Nap. Dr. A. Skałkowski. Z ryc.	— 25
»	47.	**O Wł. L. Anczycu.** Napisał Jan Magiera	— 40
»	48.	**Hodowla ptactwa domowego,** przez R. Stasiniewiczową z rycinami w broszurze 1·60, w oprawie	2 60
»	49.	**Rodzinny dom.** Napisała Jadwiga z Łobzowa	— 80
»	50.	**Śląsk cieszyński i jego odrodzenie.** nap. St. Warcholik	— 50
»	51	**Wiązanka z chłopskiej niwy,** poezye Ferd. Kurasia	— 50
»	52	**Z walk tatarskich,** napisał M. Niedźwiecki	— 30
»	53.	**Uprawa wierzby koszykarskiej.** Zebrał J. Froń	— 40
»	54	**O kometach i komecie Halleya.** Nap. M. Ernst.	— 30
»	55.	**Dziesięć lat niewoli moskiewskiej,** op. Ciembroniewicz	— 50
»	56.	**Wybór poezyi Kasprowicza** z portretem	60